MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 21 WARSZAWA, 19 MAJA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

WALKA O WIELKIE AMBICJE

OTWARTA dnia 16 b. m. Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu, oprócz doniosłego znaczenia handlowego i propagandowego, powinna przedewszystkiem stać się dla nas, na wewnątrz, sposobnością do uczynienia poważnego, na faktach opartego rachunku sumienia, do rozważenia, gdzie jesteśmy, a nadewszystko dokąd w naszym rozwoju narowym dążymy, i czy drogi obrane są właściwe i do celu prowadzą.

Na miejsce urządzenia tej wystawy, będącej pokazem naszego kulturalnego i gospodarczego stanu po dziesięciu latach niepodległości, nie wybrano stolicy państwa, jakby się to z natury rzeczy przedewszystkiem nasuwało, lecz Poznań. Wybór najzupełniej słuszny, ale nie należy przechodzić nad nim do porządku, nie uświadomiwszy sobie należycie tego, co on oznacza.

Przez powyższy wybór stwierdziliśmy, że stolica nasza, Warszawa, w jej dzisiejszym stanie nie odpowiada wymaganiom, jakie nie tylko ludzie z dalszego zachodu, ale i my, przyzwyczajeni do skromniejszych wymagań, stawiamy stolicy cywilizowanego państwa. Stuletnie rządy najbardziej barbarzyńskiego z zaborców sprawiły, że Warszawa zewnętrznie, poza kilkoma ulicami, które w dość kompromitujący sposób sami nazywamy „reprezentacyjnemi", (zwrot ten mimowoli przywodzi na myśl piękny krawat-plastron, maskujący brudną koszulę) jest miastem zabudowanem licho i ubogo, pozbawionem wielu niezbędnych urządzeń, nie będącem w możności ulokowania u siebie w jako tako znośny sposób większej masy przyjezdnych. Jedynem miastem prawdziwie pod tym względem europejskiem jest u nas istotnie Poznań. Może on na przyjęcie gości rozszerzyć węgły swej chaty, nie skazując przyjmowanych na wyrzeczenie się najprymitywniejszych wymagań, zarówno co do warunków bytowania, jak i co do martwej, a zwłaszcza żywej natury naokół.

Upośledzenie naszej stolicy polega nie tylko na tem, że ma ona gorzej wybrukowane ulice i lichsze domy, przeciętny poziom kulturalny jej ludności nie jest, niestety, najwyższy w Polsce. Metal to niewątpliwie szlachetny, ale jakże prymitywna i nieudolna rzeźba, jak cienki pokost, jak słaba warstwa, posiadająca jakieś ugruntowane tradycje, jak wielka stąd władza demagogicznego frazesu i blagi! Powierzenie wykonania „reprezentacyjnej" wystawy prowincjonalnemu Poznaniowi i Wielkopolanom, jakby na potwierdzenie starej gadki „głupia Polska bez Poznania", unaocznia braki materjalne i duchowe Warszawy jako stolicy Polski, przypomina konieczność czerpania przy budowie państwa natchnień i sił z dzielnicy zachodniej, dotąd zbytnio pod tym względem ignorowanej. Dotychczas wciąż jeszcze zbyt wybitnie górują u nas wpływy wschodu.

Powszechna Wystawa Krajowa, unaoczniając stan naszej gospodarki narodowej, może przyczynić się do rozwiania pewnej szkodliwej legendy, mianowicie o niezwykłych rzekomo bogactwach naturalnych naszej Ojczyzny. Fakty mówią, że glebę przeciętnie posiadamy zaledwie średnią, bogactwa mineralne nie obfitsze, często trudniej dostępne, aniżeli w innych krajach, klimat niezbyt łagodny, warunki naogół średnie, pozwalające niewątpliwie na osiągnięcie dobrobytu i podniesienie ludności na wysoki stopień kultury, ale wymagające niemałego i konsekwentnego wysiłku. Po-

łożenie obciąża jeszcze ta okoliczność, że samodzielność państwową uzyskaliśmy już po przemysłowym podboju świata przez inne narody, jesteśmy ubożsi w nagromadzony kapitał. Wynika stąd konieczność odrzucania złudzeń, zaprawiania charakterów do wytrwałej walki o byt, pieczołowite kształcenie przyrodzonych zdolności naszej rasy i szukanie nowych, niejednokrotnie odbiegających od popularnego szablonu dróg.

Państwo, skupiające nieomal w swem ręku faktyczny monopol kształcenia, a w znacznej mierze i wychowywaniu młodzieży, ma tu trudne zadanie do wykonania. Czy należycie bierze się do jego spełnienia? Ilościowo przyrost szkół może i przedstawia się poważnie, ale co do jakości udzielanej nauki, a zwłaszcza wychowania, nasuwają się, niestety, poważne wątpliwości. Ogólny demagogiczny ton, panujący w naszem życiu politycznem, szerzy się dziś również i w szkole, zwłaszcza przeznaczonej dla najszerszych warstw, pobudzając roszczenia i pretensje, a odsuwając myśl o obowiązku. Legenda o wyjątkowem bogactwie przyrodzonem Polski jest oczywiście na rękę tym tendencjom, składa bowiem winę za biedę powszechną jedynie na karb samolubstwa i wyzysku klas rzekomo posiadających.

Szkoła jest oczywiście kuźnią przyszłości. Czy jednakże kierownictwo teraźniejszą naszą gospodarką idzie we właściwym kierunku? Pomimo ruchliwej ingerencji rządu w sprawy produkcji, wywozu i przywozu, bilans handlowy jest w ostatnich latach stale bierny i przemysł nasz, mimo optymistycznego usposobienia sfer rządowych, nie wykazuje wcale powiększenia zdolności eksportowych, raczej przeciwnie. O ile zaś utrzymuje się lub powiększa wywóz niektórych surowców (jak np. węgla) to dzieje się to kosztem wysokiej ceny wewnętrznej, lub też, jak w wypadku z drzewem, kosztem dewastacji lasów. Z drugiej strony jesteśmy świadkami upadku tej gałęzi naszej wytwórczości, która doniedawna dawała czynną pozycję w naszym bilansie, mianowicie rzemiosła. Sprowadzamy np. znaczną część obuwia z zagranicy, podczas gdy przed wojną eksportowaliśmy niemałe jego ilości. Gdy dodamy do tego, że—jak dotychczas — w rzadko którym roku mogliśmy się obejść bez dowozu zboża z zagranicy, okaże się, że nietylko maszyny i inne produkty skomplikowanej fabrykacji, ale nawet przedmioty pierwszej potrzeby jak chleb, odzież i obuwie musimy częściowo kupować od obcych; dach nad głową mamy wprawdzie własny, ale niedostateczny i odziedziczony, sami natomiast dodaliśmy do tego stanu posiadania znikomo mało.

Ostatecznie kryzys gospodarczy, jaki przeżywamy obecnie, nie powstał przecież z tego powodu, żeśmy w poprzednich okresach dobrze zarobili, jeno z tego, że od dłuższego już czasu do gospodarki naszej dopłacamy. Faktu tego nie powinny nam przesłaniać żadne statystyki rozwoju, chociażby najbardziej imponujące.

Żyjemy od paru lat w okresie fanfar triumfalnych rozbrzmiewających przy każdej sposobności, czy to pożyczki zagranicznej zaciągniętej lub dopiero zamierzonej, czy to konkursów hippicznych w Nowym Jorku. Zagrzmią one z pewnością ze wzmożoną siłą z powodu Wystawy, na cześć rezultatów osiągniętych na przeróżnych polach. Nie powinno to zagłuszać w naszej świadomości faktu, że żyjemy w ciężkim okresie budowy, że stać się on może okresem przejściowym do czegoś lepszego i pomyślniejszego jedynie wówczas, jeśli znajdziemy właściwą dla siebie drogę i na tę drogę wejdziemy. Dotychczas jeszcze na nią nie weszliśmy i dlatego pomimo ofiarnej i owocnej pracy na wielu polach i pomimo postępów poczynionych niewątpliwie, mimo wreszcie wykazanej sprawności organizacyjnej, której dowodem jest chociażby sama Wystawa, bitwa jeszcze wygrana nie jest.

Wypowiadanie tych uwag właśnie z okazji otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej, której zorganizowanie jest niewątpliwie wielką zasługą jej twórców i na której napewno wiele jest materjału krzepiącego ducha, może się wydać dziwnem. Niepodobna jednak nie zwrócić uwagi na to, jak systematycznie i bezceremonjalnie opinja, zwłaszcza opinja mniej krytyczna, jest u nas obałamucana i dezorjentowana. Sądząc z olbrzymich, wieloszpaltowych tytułów pewnego odłamu prasy, rozwielmożnionego u nas, nietylko odnosimy na wszystkich polach same triumfy, ale zatraciliśmy wogóle wszelką właściwą miarę rzeczy. Najmniejsza drobnostka, zresztą bardzo często zełgana, traktowana jest jak jakieś walne zwycięstwo; zagraniczna pożyczka, z przykrej konieczności, jaką jest, przetwarza się w wielkie zwycięstwo, nieomal nowy Grunwald. Wstyd poprostu porównywać stosunek wielkiej części naszej prasy z zachowaniem się opinji publicznej w podobnych wypadkach w innych, nawet mniejszych narodach. Jakież to niebywałe obniżenie godności i ambicji narodowej! Reklamę ludzi, usypianie nurtujących społeczeństwo niepokojów, przeprowadza się bezceremonjalnie kosztem obniżania aspiracyj, do jakich naród wielki ma prawo.

Tej propagandzie poniżającej trzeba przeciwdziałać, trzeba nawrócić do stawiania rzeczy na właściwem miejscu, bo odbiegliśmy od tego już daleko. Trzeba pamiętać, że np. ustabilizowanie waluty przy pomocy pożyczki zagranicznej nie jest triumfem sił narodowych, a ustanowienie obcego doradcy finansowego nie jest zadośćuczynieniem dumie narodowej. Zaczymy o tem zapominać.

Pragnąc bowiem dojść do wielkich celów, musimy utrzymywać i budzić w narodzie wielkie ambicje. Tylko poczucie wielkich celów może wyzwolić i zjednoczyć wszystkie twórcze siły narodu. Suggestję wyimaginowanych, lub, co pewno gorsze, błahych sukcesów należy zwalczać w obronie dążeń narodu przed skarleniem.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

KRYZYS KULTURY WSPÓŁCZESNEJ

REFLEKSJE

ZAGADNIENIE kryzysu kultury europejskiej wyłoniło się niemal niepostrzeżenie z chaosu przeżyć okresu powojennego, ażeby stać się stałym współczynnikiem wszelkiej refleksji nad kulturą i wszelkiej myśli o dalszym rozwoju i kierunku twórczości kulturalnej. Istnieje też dzisiaj sporo koncepcyj kryzysu współczesnego, w niejednem dość znacznie różniących się od siebie.

Różnice te wypływają w wielu przypadkach stąd, że bierze się pod rozwagę jakąś specjalną dziedzinę zjawisk kulturalnych i z punktu widzenia tej dziedziny ocenia się ogólne położenie.

Tak dla jednych najważniejsze jest załamanie się czy zachwianie stosunków gospodarczych w Europie współczesnej i kryzys kulturalny jest dla nich przedewszystkiem kryzysem gospodarczym, wyznaczonym przez zmienione ukształtowanie sytuacji ekonomicznej i przez nowe czynniki życia ekonomicznego.

Ze stanowiska zainteresowań politycznych kryzys współczesnej kultury zachodnio-europejskiej przedstawia się jako kryzys myśli politycznej, jako bankructwo częściowe czy zupełne systemów organizacji i władzy państwowej — i w tem zachwianiu systemu politycznego widzą politycy główne źródło niepokoju, zamętu i chaosu powojennych stosunków kulturalno-społecznych.

Inną jest znowu koncepcja, która wysuwa na czoło współczesnych zagadnień kulturalnych sprawę stosunku jednostki do społeczeństwa. Według niej rozwój indywidualizmu i indywidualizacja stanowiska społecznego jednostki, przy równoczesnem osłabieniu więzi społecznej i kulturalnej wspólnoty, tworzy trudność i niepokój dzisiejszego bytowania, stanowi niebezpieczeństwo dla dalszego rozwoju życia kulturalnego.

Żadnemu z tych ujęć niepodobna odmówić przynajmniej częściowej słuszności, jak niepodobna jej odmówić tak samo koncepcjom, które wysuwają zagadnienia religji, moralności, obyczaju. Na to, co nazywamy kryzysem kultury współczesnej, można patrzeć z różnych punktów widzenia—z każdego przedstawiają się w gmachu kulturalnym współczesnego życia europejskiego rysy, pęknięcia, zachwiania. Dlatego też każde z tych ujęć, czy kładzie nacisk na moment polityczny, czy gospodarczy, czy społeczny (w sensie stosunku jednostki do społeczeństwa), niepełne jest i niewystarczające. Kryzys współczesnej kultury europejskiej jest prawdziwie kryzysem kulturalnym, który obejmuje nie jedną tylko dziedzinę życia kulturalnego, lecz całość systemów, w jakich zawarte i jakim poddane jest nasze życie duchowe. I pełna jego ocena stanie się możliwa dopiero wtedy, kiedy nastąpi równoczesne i współrzędne ujęcie życia kulturalnego w wszystkich głównych dziedzinach.

Tymczasem myśl, stając wobec chaosu zjawisk, szuka ogólniejszych punktów zaczepienia i takich linij, które przenikają poprzez granice jednej dziedziny kulturalnej i zdradzają ogólny prąd duchowy. Takie znaczenie mają dla refleksji nad kulturą współczesną koncepcje liberalizmu i demokratyzmu. W liberalizmie i demokratyzmie przywykliśmy widzieć dwa główne kierunki, które stanowiły o rozwoju życia i kultury europejskiej w wieku XIX i XX (przynajmniej do wojny) i które wycisnęły piętno zasadnicze na całej ostatniej, od rewolucji francuskiej datującej się, fazie myśli, twórczości i pracy.

Biorąc te dwa określenia, musimy jednak pamiętać, że nie chodzi tu o terminy polityczne. Liberalizm to nie (a przynajmniej nie wyłącznie i nie naczelnie) pewna koncepcja roli państwa i jego ingerencji w sprawy życiowe, nie także pewien kierunek życia gospodarczego, lecz ogólny prąd duchowy, który wyraża się między innemi w polityce i gospodarstwie, lecz który równocześnie, a często silniej i bardziej charakterystycznie wypowiada się w świecie myśli, w literaturze, w nauce, w obyczajowości, w ujmowaniu życia religijnego.

Prąd ten, oparty o ogólne hasło wolności i zmierzający ku jego realizacji, zwraca się przedewszystkiem do świata myśli, jemu narzuca ideę wolności, aby podnieść ją do znaczenia kryterjum w ocenie zjawisk i zasady kształtowania życia. Realnie jest ten prąd zwrócony przedewszystkiem przeciw istniejącym normom, ograniczeniom i więzom. Nadmiernie często podkreślany, a niezawsze słusznie rozumiany, związek liberalizmu z indywidualizmem jest tylko jednym z przejawów ogólnego kierunku. Liberalizm ogranicza najpierw w świadomości człowieka, potem w objektywnym układzie stosunków kulturalnych, zobowiązania jednostki, które wynikają z jej stosunku do społeczeństwa, osłabia węzły społeczne, krępujące jednostkę w swobodnej działalności. Rola prądu nie wyczerpuje się jednak w tym przejawie. Równolegle z nim liberalizm walczy o autonomję poszczególnych dziedzin życia kulturalnego, prowadzi do nauki dla nauki i sztuki dla sztuki, podmywa dawniejsze podłoża moralności i obyczaju. Związek poszczególnych przemian kulturalnych, jakie na tem tle powstają w w. XIX, a zwłaszcza w jego drugiej połowie, z liberalizmem, jest naogół rzeczą znaną i dlatego pomimo nacisku, jaki publicystyka w ujmowaniu liberalizmu kładzie przeważnie na momenty polityczne i gospodarcze, koncepcja tego kierunku jako prądu ogólnokulturalnego nie wymaga szczególniejszych uzasadnień i argumentacyj.

Nieco inaczej przedstawia się rzecz z demokratyzmem. Sam termin „demokratyzm" mniej jest znacznie od liberalizmu znany i używany. Przeważnie wie się i mówi tylko o demokracji, przyczem, zgodnie z wielką tradycją tego słowa, demokracja oznacza przedewszystkiem pewien typ ustroju społeczno-państwowego.

Istnieje wprawdzie świadomość, że rola demokracji współczesnej nie ogranicza się do terenu stosunków społeczno-państwowych, że jej przejawy dają się dostrzec w dziedzinach różnych aż po wyniosły dawniej świat sztuki i bardziej jeszcze dawniej wyniosły i ekskluzywny świat naukowy. Ale naogół uważa się różne przejawy demokracji w życiu kulturalnem

jako objawy wtórne, towarzyszące zasadniczemu faktowi demokracji w znaczeniu formy politycznej. Tymczasem jest rzeczą więcej niż problematyczną, czy przekazana jeszcze ze świata starożytnego koncepcja demokracji jako ustroju politycznego da się zastosować do życia społeczeństw europejskich z XIX i XX stulecia i czy przedewszystkiem wystarcza ona, by objąć to wszystko, co się w życiu kulturalnem pod miano demokracji podciąga. Im uważniej patrzymy w dziedziny kulturalne, dalej stojące od sfery prawnopaństwowej, tem konieczniejsze staje się i tutaj przesunięcie od zjawiska politycznego do prądu ogólno-kulturalnego — od demokracji do demokratyzmu. Demokratyzm jako taki prąd związany jest, podobnie jak liberalizm, z ideologją Rewolucji francuskiej i podobnie oparty na ogólnem haśle. Tem hasłem jest drugie wielkie słowo Rewolucji — równość. Rozwój idei równości w w. XIX wypowiada się niewątpliwie i dobitnie w sferze stosunków politycznych, w stopniowem dopuszczaniu wszystkich obywateli państwa do głosu w sprawach państwowych, przynajmniej w zasadzie do równej w państwie współpracy. Ale już za tą formą polityczną dostrzegamy jako jej podstawę i podbudowę przekonania, tendencje i nastawienia myślowe, które nietylko ważne są dla państwa, lecz które zasadniczo ujmują wszelki stosunek człowieka do człowieka, wszelką strukturę grupy społecznej. W sposób szczególnie charakterystyczny objawiają się te nastawienia myślowe w niezmiernie ważnej dla demokratyzmu kwestji klas społecznych. Przez cały w. XIX niejednokrotnie potęgujące się do fanatyzmu przekonanie, że ludzie są równi i że powinni być równi, kieruje ruchem ideowym zwróconym przeciw odrębnościom klas społecznych i działa realnie na rzecz przynajmniej częściowego zacierania i zmniejszania różnic istniejących. Równość wobec prawa, znoszenie przywilejów prawnopaństwowych są tu tylko pierwszemi fazami. Demokratyzm sięga dalej przez świat stosunków prawnych w świat niepodległego prawu obyczaju, gdzie otwierają się przed nami przeobrażenia niezmiernie ciekawe, w wielu przypadkach stanowiące najświeższe, dopiero w życiu powojennem występujące przejawy tego kierunku. Demokratyzm sięga w świat twórczości kulturalnej, oddziaływa na kształtowanie się kierunków sztuki i nauki. I tutaj dopiero ujawnia się istotne oblicze prądu kulturalnego. Ujawnia się demokratyzm w znaczeniu wielkiej siły kulturalnej, zwróconej przeciw różności i nierówności form życia społeczno-kulturalnego. Demokratyzm jako konkretny kierunek, organizujący w sposób szczególny życie: kierunek niwelacji.

Demokracja należy do najczęstszych przedmiotów dyskusyj i rozważań. Demokratyzm, w zarysowanem przez nas znaczeniu równoznaczny z egalitaryzmem, stanowi wprawdzie zagadnienie od kilkudziesięciu lat aktualne w myśli europejskiej i omawiane w nauce (np. Bouglé), jest jednak faktycznie mniej znany i jeszcze nieoceniony w pełni przynależnych doń zjawisk. Nam chodzi tu jedynie o to, by zaznaczyć istnienie demokratyzmu jako drugiej obok liberalizmu wielkiej siły ogólno-kulturalnej, która kształtowała całe współczesne życie kulturalne i której rys tkwi dzisiaj tak samo w polityce i w gospodarczych stosunkach, w nauce i w sztuce, w obyczaju i wszelkiej formie społecznego stosunku. Dla refleksji nad kryzysem kultury współczesnej jest to ważne, ponieważ stale spotykamy się z tendencją ujmowania i rozważania kryzysu li tylko jako załamania myśli liberalnej i systemu liberalnego. Z takiem ujęciem łączy się przekonanie, że wystarcza zająć czy nową czy też nieco zmienioną postawę wobec liberalizmu, ażeby przejść poza granice kryzysu i stanąć na drogach nowej ewolucji kulturalnej. Tymczasem wszelkie podobne koncepcje opierają się na wyodrębnieniu prądu liberalnego, które przynajmniej historycznie nie jest uzasadnione. W XIX w. bowiem i w początkach XX w. liberalizm nie istnieje jako samoistna i naczelna idea kulturalna, lecz jako prąd zespolony z demokracją lub raczej z ogólno-kulturalnym demokratyzmem. Myślenie wolnościowe i reformy wolnościowe łączą się z napływaniem na powierzchnię życia mas coraz szerszych i z coraz większem zaznaczaniem się roli jednostki przeciętnej—i jakkolwiek splot tych zjawisk nie zdaje się niczem oczywistem i koniecznem, to przecież jako faktu ani pominąć ani zaprzeczyć go nie możemy. Być może, iż dzisiaj już rozchodzą się ścieżki liberalizmu i demokratyzmu. Lecz właśnie, ażeby ocenić tę przypuszczalną zmianę, trzeba najpierw ująć stan faktyczny, dany w bezpośredniej przeszłości dziejowej.

Związek liberalizmu i demokratyzmu w XIX stuleciu jest tak bliski i ścisły, że niekiedy wydaje się, jakobyśmy stali wobec jednego i jednolitego prądu dziejowego. Ująć ten związek istotnie, to jednak właśnie zrozumieć odrębność funkcji każdego z obu prądów i wniknąć na tej podstawie w ich stosunek wzajemny, dzięki któremu liberalizm i demokratyzm działały wspólnie i wspólnie przetwarzały rzeczywistość europejską. Funkcją liberalizmu, który głosił wolność myśli, wolność pisma, wolność przekonań, wolność układu życia przez jednostkę, wolność handlu i gospodarki, było to, że usuwał on zapory, jakie dla swobodnej działalności i swobodnej twórczości stanowiły normy kulturalne i więzy społeczne. Zmaganie się dążności wolnościowej z wielkim zasobem zasad i ograniczeń, przekazanych tradycją kultury europejskiej, a zawartych w całem życiu kulturalnem od przekonań i nastawień myślowych aż po twarde formuły prawa, to dzieje liberalizmu, przez cały w. XIX potęgującego się i coraz bardziej zwycięskiego w swym pochodzie. Liberalizm nie doprowadza wprawdzie nigdzie do zupełnego oddalenia normy kulturalnej i zupełnego obalenia wszelkiej więzi społecznej, lecz w każdym razie zakres stałych zasad i reguł działalności ludzkiej we wszelkich dziedzinach kultury ogranicza i wpływ ich osłabia. „Wolność“, która powstaje w ten sposób już nie jako wstępne hasło, lecz jako wynik realnego procesu dziejowego, to przedewszystkiem szersza sfera możliwości kulturalnych — możliwości danych tak całym gałęziom działalności kulturalnej, jak i stojącym w grupach społecznych jednostkom.

Krytyka liberalizmu wskazuje często, że liberalizm, podkopując pewne normy społeczne i moralne, przyczynił się do zachwiania takich instytucyj, jak np. małżeństwo i rodzina, osłabił wszelką wogóle wspólnotę społeczną, natomiast rozwinął dążność do użycia i spotęgował wszelki egoizm tak jednostek, jak poszczególnych grup społecznych. Takie ujmowanie liberalizmu może być zupełnie słuszne, jak długo chodzi o negatywną wyłącznie działalność osłabienia i ograniczenia istniejących norm kulturalnych i węzłów społecznych oraz o wynikające z tej działalności dla życia kulturalnego bezpośrednie konsekwencje. Pamiętać jednak musimy, że przy całym tym wpływie libe-

ralizm sam określonego kierunku życia nie tworzy. To, co daje liberalizm — wielość możliwości kulturalnych, swoboda postępowania i działalności — to wywołuje szereg ujemnych konsekwencyj w poszczególnych dziedzinach, w ogólnem życiu kulturalnem da się związać chyba z indywidualizacją życia i specjalizacją pracy jako szczególnie samemu prądowi odpowiadającemi zjawiskami. Pozatem liberalizm właśnie przez tę swobodę i wielość możliwości, jaką przynosi, to bezkierunkowość życia, nieujętego żadną hierarchją wartości, niepoddanego żadnej wartości naczelnej, religijnej, państwowej czy innej. Jeżeli życie kulturalne XIX w. przy całej indywidualizacji człowieka i specjalizacji zawodów nie jest tak bezkierunkowe, jakby to mogło wyniknąć z samego liberalizmu, lecz przeciwnie, przybiera stopniowo kierunek coraz bardziej określony, to dzieje się to dlatego, że obok prądu liberalnego i obok różnych aktualnych czynników dziejowych działa również coraz silniej wnikający w życie drugi prąd ogólny — demokratyzm. Na siedliska kultury, przetrzebione w swych stałych zasadach i określonych normach przez liberalizm, prąd demokratyzacji wpływa szeroką falą, kształtując rozwinięte możliwości i nadając nowe formy życia. W rzeczywistości dziejowej wypowiada się to przedewszystkiem przez napływ szerokich mas i podnoszenie się ich do wyższego poziomu życia kulturalnego. Odpowiednikiem tego przejawu, zwykle jednak słabiej zaznaczanym i rozumianym, jest niwelacja wyższych grup i jednostek, ściąganych przez proces kulturalny do jednolitego poziomu.

Związek liberalizmu i demokratyzmu w kulturze europejskiej nie wynika z ich wewnętrznego podobieństwa, lecz raczej z konieczności wspólnej obalania zapór, przeszkód, form życia już istniejących. I tutaj liberalizm jest przez cały w. XIX prądem torującym drogę, niweczącym zasady kulturalne tak w myśli jednostki, jak i w stosunkach społecznych. Zresztą demokratyzm w swej pierwszej fazie, stojąc wobec wielkich różnic stanowych i klasowych, zmuszony jest spełniać funkcję naogół analogiczną: walczyć przeciw zasadom odrębności poszczególnych warstw społecznych. Tak trwał przez cały wiek XIX i cały jeszcze okres przedwojenny sojusz tych dwu prądów, z których, jak nam się dziś zdaje, mimo wszelkie przejawy demokratyzacji, liberalizm jest do czasu wojny czołowym kierunkiem myśli i głównem hasłem ustroju kulturalnego. Dopiero wstrząs wojenny sprowadza w tych stosunkach przewrót, lub może ujawnia już dawniej zwolna dokonywającą się przemianę. Wśród zmian, spowodowanych przez anormalność stosunków wojennych i powojennych, okazuje się, jak głęboko w myśli ludzkiej i w ustroju społecznym liberalizm podmył istotne podstawy kultury europejskiej; z drugiej strony wśród zmian tych łamią się zachwiane długiem poprzedniem działaniem demokratyzmu granice stanowo-klasowe. Tak dzieje się, że liberalizm, wypełniwszy swe zadania, staje się mniej aktualny, mniej żywy, mniej już potrzebny; dla demokratyzacji otwiera się natomiast odarte z zapór i wyniosłości całe życie kulturalne.

Lecz do przemiany w znaczeniu liberalizmu i demokratyzmu przyczynia się niemniej silnie czynnik drugi. Oto życie powojenne, w innych i wielokroć trudniejszych toczące się ramach, stawia jednostkom i grupom coraz nowe zagadnienia, żywe, pilne, wymagające decyzji i działania. Wobec tych zagadnień, prąd, który przynosi szerokie możliwości, swobodę i brak określonego kierunku, stopniowo coraz dobitniej musi ujawniać swą bezsiłę. Ta bezsilność występuje nietylko w objektywnych systemach kultury, lecz równolegle przenika do świadomości jednostki, która szuka dla swego postępowania wskazań i linij wytycznych w normach kultury. Jednostka, podobnie jak grupy społeczne i jak całe gałęzie kultury, nie znajdują dzisiaj takiego oparcia i wskazania w liberalizmie. Natomiast znajdują to, co fala życia przynosi jako kierunek i jako określoną formę dla zjawisk: wyrównywanie i upodobnianie w myśl narzucanych przez demokratyzm przeciętnych wzorów człowieka i działalności. Pogrążone napozór w chaosie życie przekształca się przecież ustawicznie i codziennie dostrzegamy w niem dalszą określoną przemianę. Zacierają się różnice między przeciwnemi typami i grupami społecznemi, dawniejsze odrębności i wyniosłości życia kulturalnego coraz bardziej ściągają się na jedną płaszczyznę, tej płaszczyźnie masy i przeciętności i jej ideałom coraz wyraźniej poddaje się działalność twórcza (np. charakterystyczny objaw w tym względzie stanowi w świecie sztuki architektura nowoczesna i jej praktycyzm). Dzisiaj dostrzegamy niwelację społeczną niejednokrotnie silniej w obyczajowości i w twórczości kulturalnej, niż w polityce i w stosunkach gospodarczych.

Przesunięcie przez kierunek życia współczesnego nacisku na demokratyzację kultury zaczyna być dzisiaj uznawane, przeważnie jednak rozumiane jest mylnie. Mówi się o walce z liberalizmem i o zwrocie ku demokracji jako o przełomie kulturalnym, jako o nowem stanowisku duchowem, które wyprowadza nas poza kryzys kultury współczesnej. Wgląd w stosunek liberalizmu i demokratyzmu nie potwierdza takiego ujęcia. Liberalizm tkwi jeszcze niekiedy bardzo silnie w urządzeniach społecznych i w przyswojonych przez człowieka współczesnego nastawieniach myślowych, ale nie jest prądem żywotnym i twórczym wobec rzeczywistości dzisiejszej i zwrot przeciwko niemu nie wymaga ani szczególnej energji, ani sam przez się nie jest jeszcze wyrazem żywotności kulturalnej. Co zaś do demokratyzmu, to jego wysunięcie się dzisiejsze nie ma cech żadnej zmiany zasadniczej, lecz jest dalszem ogniwem w rozwoju prądu dziejowego, od czasów rewolucji francuskiej żłobiącego kulturę europejską. Jest nie nowem obliczem dnia dzisiejszego, lecz rozwinięciem pierwiastków wczorajszych.

Kryzys kultury współczesnej trwa. Wiele zagadnień, dręczących kulturę współczesną, a wśród nich przedewszystkiem zagadnienia wartości i wielki problemat stosunku religji do życia kulturalnego, przez procesy wzmożonej demokratyzacji raczej zaostrzą się, niż ulegną rozwiązaniu.

To też jakkolwiek nastawienie krytyczne wobec liberalizmu jest cenne i wydaje się w dobie obecnej konieczne, samo ono niezdolne jest niczego przełamać i niczego nowego utworzyć. Teraźniejszość wysuwa zagadnienie przenikających nasze życie sił niwelacyjnych i wskazuje potrzebę nowej wobec nich postawy duchowej.

PAWEŁ RYBICKI

Z DZIEJÓW POEZJI TATRZAŃSKIEJ III.

OD ROMANTYKÓW DO TETMAJERA

KARTKA z dziejów człowieka, którą nakreśliłem, jest jednocześnie rozdziałem z dziejów poezji polskiej nowożytnej, ściślej mówiąc—poezji tatrzańskiej.

Kiedy Seweryn Goszczyński, autor „Sobótki" i „Proroctw św. Marka", podróżował w Tatry dla „wzmocnienia się górskiem powietrzem i dla prac niektórych", a w gruncie rzeczy dla odnowienia swych dawnych natchnień tatrzańskich, rodziła się już nowa poezja. Nad poetyckiemi Tatrami wschodziła gwiazdka Adama Asnyka, a wkrótce wytworzy się cała konstelacja, w której: Franciszek Nowicki, Jan Kasprowicz, a zwłaszcza Kazimierz Tetmajer, ten, któremu Goszczyński uratował życie, przyjmując go w swoje objęcia. Sędziwy wieszcz, kontemplując u stóp Giewontu swoje dawne wspomnienia, siedział na przełęczy dwu epok, z których do minionej nie było powrotu.

Właśnie w tych czasach zjawił się w Tatrach Asnyk, postać przejściowa między nim starcem a dzieckiem Tetmajerem. Warto się zastanowić nad wierszem, który ten poeta dedykował Maciejowi Sieczce, owemu przewodnikowi, u którego mieszkał Goszczyński w r. 1873. Mamy tam program nowych czasów poezji:

„Mój przodowniku—mówił do niego Asnyk,—Tyś mnie wiódł przez góry, dając mi poznać ich poezję świeżą, nie zeszpeconą mdłych legend odzieżą. Tyś mnie nauczył czuć ją (naturę) silniej, lepiej, bez wykrzykników i przenośni bladej i w dzikich jej formach... nie szukać natchnień niemieckiej ballady, lecz na nią okiem spoglądać górala.

„Tyś mnie nauczył, drapiąc się na turnie, nie brać przyborów romantycznej muzy i na klasycznym nie stąpać koturnie... ale wesoło bez zawrotu głowy mijać głęboko wycięte parowy...

„Wszystko, coś mówił, miało więcej wdzięku, niż romantyczna daje opisowość, bo mówiąc miałeś pierś natury w ręku, a każde słowo dziwną miało nowość.

„I nie prawiłeś mi spłowiałej bajki o dziwożonach lub zaklętych skarbach, lecz dym puszczając z swej króciutkiej fajki, Juhasów w żywych malowałeś farbach".

Opowiadania Sieczki—powiada Asnyk—skuteczniej zagrzewały serce, niż „wszystkie Gnomy, Ondyny, Rusałki", co przy Tatrach są jak „kwiat przy kożuchu".

„Tyś czuł, że prawda — piękna, chociaż naga, gdy jest odczuta silnie a głęboko, że tracić musi dzika gór powaga, gdy fantastyczną okryć ją powłoką, i że nie trzeba robić z skał posągów, ani wytwarzać różnych dziwolągów"...[1])

Asnyk wyklinał w tych słowach „Sobótkę" Goszczyńskiego, mając na myśli owe dla postrachu sowy, węże, wilki, dziwożony w czapkach, głowy błędne itp., a nadewszystko, mając na myśli ten staroświecki charakter dawnej poezji, która patrząc na rzecz wolała jej nie widzieć, aby uczynić coś piękniejszego — brak prawdy.

Nigdzie bodaj tak wyraźnie, jak na poezji tatrzańskiej, nie da się zobaczyć, jak wielka odmiana zaszła w sztuce w wieku XIX pod względem obchodzenia się z ową prawdą. Wyjątkowo bezpośredni dostęp miał do niej Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", pozatem panowała konwencja estetyczna, czasami piękniejsza od najpiękniejszych prawd, jak u Słowackiego, ale konwencja. Goszczyński zdobył kartę w historji poezji, jako pogromca konwencji pseudo-klasycznej, a przecież to nie znaczyło, że zwrócił się sam do realizmu w traktowaniu świata zewnętrznego. Romantycy odkryli świat subjektywny dążeń, ideałów i zachwyceń i w tej dziedzinie byli realistami. Świat zewnętrzny był tylko scenarjuszem pojawów ducha. Rzeczywistość było sprawą wtórną. W dolinie Kościeliskiej przecież nie było ani dziwożon, ani wężów, ani wilków, co ciekawsze — nie było nawet obyczaju sobótek u ludu. Dla romantyków istniał lud, ale tylko jako cień idei człowieka, nie przychodziło do głowy przypatrywać mu się indywidualnie ze stanowiska poetyckiego. Osobiście poeta jako człowiek prywatny, był przecież żywy, był demokratą, dzielił z ludem obyczaje, agitował wśród ludu. Goszczyński przecież zawiązując tajny związek góralski w Tatrach, miał wśród ludu przyjaciół politycznych, doskonale znał ich indywidualnie, ale konwencja literacka nie dawała miejsca na to wszystko w sztuce. Kiedy Goszczyński wydał swoją „Sobótkę" z ilustracjami, to się widziało, jak malarz go zrozumiał: wszystkie postacie są jak z teatru amatorskiego, dziewczyny mają trzewiczki wiązane na wstążki, a Janusz to Jontek z „Halki" Wolskiego.

Poezja schodziła z gór idei (wyższych ponad góry) do przyrody. Między nadnaturalistą Goszczyńskim, widzącym lepiej świat nadprzyrodzony od przyrodzonego, a Tetmajerem — stanął Asnyk ze swoim kultem natury, zaczerpniętym z kultu nauki ówczesnej o przyrodzie. Nie był to jeszcze naturalizm artystyczny, ale już podziw dla natury, przekładany z psychologji poznania naukowego na psychologję wzruszeń estetycznych.

Tetmajer jest jeszcze nowszy: nie kontempluje natury, jak Asnyk ze stanowiska idei naukowej, lecz wchodzi w jej łono przez człowieka. Do t. zw. natury niema właściwie innego dostępu poetyckiego, jak przez duszę człowieka natury—przez lud. Wszystkie kołatania do serca i do głowy ludu w czasach nowożytnych (które wytworzyły w rezultacie ubocznie gałąź wiedzy: etnografję), brały początek w poetyckiej potrzebie dotarcia do tajemnic życia. Duch, rozpowity z niemowlęcych więzów, gdy ma dojść do prawdy, rozpoczyna falistą drogę od Boga przez kult rozumu do człowieka i naturaljów, aby znowu wzbić się tą falą wzmożoną w górę. W Tatrach odbył się ten proces poetycki szybko, wskutek niezwykle intensywnego działania tych podstawowych elementów poetyckich w ich zespole: ducha, który ciągle ma na myśli, gdzie jest granica przyrody i nadprzyrodzenia, i człowieka miejscowego z jego mową, wizją i sztuką, które nie należą do przyrody, ale tworzą z nią nierozdzielną całość i do jej tajników wiodą.

Trzeba sobie uprzytomnić, jak wielki jest przeskok od romantycznego traktowania obrazu do realistycznego, widzianego przez oczy ludu. To, co mó-

[1]) A. Asnyk. „Poezje". Warsz. 1898. t. II. S. 202.

wi do Sieczki Asnyk, jest bardzo znamienne: „Tyś mnie nauczył“... Czego? Widzieć prawdę. Klasyków uczył widzieć Boileau, romantyków — Ossjan, Walter Scott, Byron; naszych poetów już od Asnyka uczy patrzeć chłop.

Nic dziwnego, że pokolenia widzą rzeczy z dwu różnych stron i to pod różnym kątem. Okoliczność to jest ważna i nie pozwala przy porównywaniu stosować jednej miary do talentów różnych epok. Nie można Goszczyńskiego mierzyć Tetmajerem i kryterjów ostrowidztwa realistycznego „Skalnego Podhala“ stosować do „Sobótki“. Poeta, szukający w zjawiskach szczytnych przejawów ducha, poprostu nie chciał studjować swych doznań zmysłowych szczegółowo, z natury rzeczy musiał być sumaryczny i raczej operować symbolami, niż konkretami. Dlatego też może niejedna krzywda stała się Goszczyńskiemu, gdy odmawiano jego dziełu wartości artystycznej na tej zasadzie, że w swem malarstwie zbyt był ogólnikowy.[2])

Kazimierz Tetmajer, ze czcią wspominający poetę i jego „Sobótkę“, tak o jego talencie pisze:

„Goszczyński nie umiał niestety i ku nieodżałowanej szkodzie przedstawić dawnego górala. Zdaje się, że nawet zamiar taki nie powstał nigdy w jego głowie. Zarówno w „Sobótce“, jak i w „Dzienniku podróży do Tatr“ opowiedział tylko kilka ciekawych szczegółów. Pod względem chwycenia typu, charakteru Witkiewicz „Na przełęczy“ stoi daleko wyżej. Goszczyński notował wprawdzie pieśni góralskie, ale wszystko to nie ma albo wcale, albo prawie wcale typu, czy charakteru. Widocznie nie miał daru odczucia chłopa, ani nawet pamięci, bo że chciał i odczuć i zapamiętać, to widoczne. Nie był w stanie nawet zaobserwować ich wymowy. Ale co jedno odczuł, co zapamiętał, co zrozumiał—to fantastyczny świat ducha ówczesnej góralszczyzny. Goszczyński do tego miał specjalne usposobienie. Przedewszystkiem wierzył. Wierzył poprostu w tak zwany nadprzyrodzony świat... Jemu dziwy nie były dziwami i widomie mu grały niewidome „siły“, podobnie jak Mickiewiczowi. Ta strona duchowego życia Podhalan zajęła go przedewszystkiem. Ta go znalazła wyjątkowo usposobionym. I prawdziwy romantyk chłopa kochał teoretycznie w stosunku do sztuki, a rozumiał... świat fantazji chłopskiej“.[3])

Gdzieindziej Tetmajer dodaje do tego:

„Goszczyński talent mało bogaty, pozbawiony zupełnie żywości barw i zdolności wchłaniania w siebie i odtwarzania zewnętrznego świata, cały pogrążony w jednym głębokim i tęgim, ale wązkiego koryta nastroju całe skarby zmarnował, całe skarby miał u nóg swoich... Goszczyński puszcza ich (ciekawe typy) mimo, puszcza cały ten świat. Zbiera i zapisuje pieśni Podhalan, ich podania, ich obyczaje i zwyczaje, opisuje ich dusze, jak opisał ich strój, owszem on to wszystko widzi i spostrzega, rozumie... ale sam nie umie przetworzyć ani w opis, ani w rapsody epickie nic z tego, co mu się poprostu kłębiło przed oczami. Opisuje, opowiada naturę—to są arcydzieła odczucia i ogarnięcia zewnętrznego świata, ale stworzyć na tem tle nic nic nie potrafi. Jest romantykiem, bajronistą... nadaje góralom balladowo-romantyczne internacjonalne kształty, tak, że... mogliby również dobrze urodzić się w lasach pod Duesseldorfem, albo Sewillą, jak pod Nowym Targiem — wszystko to, co mówią, myślą i robią, jest pozbawione cech rasowych“ [4]).

Spostrzeżenia Tetmajera, spadkobiercy Goszczyńskiego, są ważne i trafne, ale zbyt bezpośrednie, bez refleksji historycznej robione. Bo ze stanowiska nowej sztuki nie odpowiadał mu także Asnyk, który, jak widzieliśmy, dopiero się domyślał, że poeta bez przewodnika, jakim jest lud, nie chwyci życia Tatr.

Dla zorjentowania się historycznego w różnicach epok, trzeba sobie przypomnieć filozofję sztuki Goszczyńskiego. Poeta ten widział w poezji służebnicę idei. „Zewnętrzna forma poezji... zajmuje miejsce bardzo podrzędne“. Formie wysługują się zmysły, rozum, ale jest siła twórcza ważniejsza—„czucie duchowe“. Ono łączy poetę z Bogiem i jest wieczne. „Tu zstępuje duch Boży, tu padają natchnienia wielkich uczuć, wielkich myśli, wielkich prawd, wielkich czynów“...

„Poezja jest pierwszem dzieckiem, pierwszym głosem religji, o tyle więc jest poezją, o ile zasila się w swojem źródle, żyje prawdami i pięknościami religijnemi“. „Narzędziem przeto poezji jest władza duchowa. Są muzycy języka, są malarze języka, ale to nie są poeci. Powstają sztukmistrze dla sztuki, ale to poeci najjałowsi. Występują poeci zmysłów, namiętności cielesnych, ale ich natchnienia są natchnieniami zwierzęcemi, ze krwi... Jedni tylko są poeci prawdziwi—tj. poeci ducha, poeci poświęceni natchnieniami świata duchowego i służący tylko sprawie najwyższej prawdy i piękności“.

Wyjmuję te słowa z rozprawy Goszczyńskiego „Stanowisko poetów w społeczności“. Ale ktoby mi powiedział, że są to poglądy późniejsze, pod wpływem przemiany religijnej, która się już zaczęła w r. 1841-ym, to powołam się na młodzieńcze utwory Goszczyńskiego z lat 1826—29 (Do młodego poety, Orzeł, Powołanie, Błędy genjusza), gdzie już jest ta sama zasada romantyczna czucia duchowego, jako odrębnego stanu psychicznego, czyniącego z poety „cząstkę bóstwa“.

Historyk literatury z wielkiemi zastrzeżeniami brać musi pod rozwagę wszelkie tego rodzaju bezpośrednie zestawienia twórczości dwu różnych epok. Czego innego szukał w Tatrach Goszczyński, czego innego Tetmajer. Ten był produktem odmiennej szkoły. Tetmajerowi ustawili kąt widzenia świata ci w pokoleniu Asnyka, którzy zburzyli filozofję romantyczną i poezję „spoganili“. Poeci Asnyka i Tetmajera szli w Tatry już bez „przyborów romantycznych“, stali się przedewszystkiem artystami, szukającymi konkretu i reakcyj zmysłowych. I doszli tutaj do wielkich istotnie rezultatów. Nie śniło się Goszczyńskiemu, że pióro poety może oddać—jak u Tetmajera—muzykę ciszy po malarsku w mgłach poranku, nasyconych barwami od słońca, że może stworzyć tak cudny pejzaż, grany na nastroju duszy czytelnika. Odeszłaby mu ochota brania pióra do ręki, gdyby widział, jak Tetmajer potrafi z tych samych górali, których on marzył, wykonywać homeryckie postaci nadludzi, w rzucie naturalistycznym, barwnym, rozsłonecznionym.

Co się złożyło na tę przemianę metody tworzenia? 1) Zlikwidowanie teorji piękna i natchnienia jako sił udzielających się artyście zzewnątrz, 2) przeniesienie punktu ciężkości na artyzm przedewszystkiem odtwórczy. Z artysty opadła religja, filozofja, nawet literatura i stał się nagi (naga dusza), objektywny, jak aparat odbiorczy. Ideałem jego stała się klisza wzrokowa ludzi prostych, wychowanych wśród przyrody. Opowieści Sobały, zebrane przez Stopkę, stają się niejako miarą wartości artystycznych poezji literackiej.

---

[2]) Istnieją dwie prace analityczne w tej materji: Bogusława Serwina: „Próba charakterystyki twórczości Sew. Goszczyńskiego“. Kraków 1908 i Stan. Pazurkiewicza „Poczucie przyrody w twórczości Sew. Goszczyńskiego“. Tarnów. 1921.

[3]) „Słowo“. Warszawa 1901, № 262.

[4]) W art. „Poeci Tatr“, „Nowa Reforma“ 1908. To samo szerzej w książce „Notatki literackie“. Warsz. 1916. S. Orgelbrand, str. 3 i n.

I tutaj rys charakterystyczny. Nowa sztuka tatrzańska, zlikwidowawszy „czucie duchowe" romantyczne, musiała jednak zastąpić je czuciem duchowem naturalistycznem. Nie mówiło się już o ideach, prawdach, czynach, płynących z ducha Bożego, czy ducha wszechświata, lecz o dobrem widzeniu zjawisk przyrody, o wczuciu się w ducha ludu górskiego, ducha Tatr...

Podczas gdy Goszczyński zaczyna od idei i dla niej szukając umieszczenia w górach, zaludnia je przedewszystkiem tworami ze świata fantazji (ducha), Tetmajer całą energję twórczą skupia na konkretach świata przyrodzonego. Sam nie ma żadnej idei, wystrzega się jej. Mimowoli jednak sztuka jego wpadając w promienie duchowości ludu, odbywa drogę odwrotną od tej, którą przebywa sztuka Goszczyńskiego: od kształtów, postaci zmysłowych podąża do wyrażenia tego czegoś, czego zjawiska są tylko wcieleniem— do symbolu rzeczy duchowych. Występuje utajona w przyrodzie tęsknota do wiekuistego bytu.

Ponieważ dostępu do tajemnic ducha Tatr sztuka poszukuje w instynktach ludu, więc rychło — już u Tetmajera — wpada ona w mitologję, właściwie na drogę tworzenia wespół z ludem mitów. Poezja nie da zamknąć się na długo w ramach podziwu i rozumienia natury ze stanowiska poznawczego, jak to się zdawało Asnykowi, a nawet J. G. Pawlikowskiemu. Ostatni z nich, jak to pokazałem gdzieindziej [5]), tak przepoił przyrodę animistycznem widzeniem, że ujrzał bóstwo, z żywiołów wyłonione (Trygław), a Pawlikowski młodszy obecnie w „Bajdzie o Niemrawcu" widzi świat tatrzański jako stałe obcowanie ludzi z żywiołami przyrody, upostaciowanemi. Początek dał Tetmajer, tworząc w powieściach tatrzańskich nadludzi. Dzieje się z poezją w skórze ludowej, jak z owym Sablikiem, który wziąwszy na się skórę baranią, podchodził kozła [6]). A kozieł go wiódł za sobą, a ten się zaciekał, aż znalazł się za światem, skąd się już nie wraca. Bo duch ludu prowadzi tam, skąd przyszedł Goszczyński.

Spór, który wiodła z romantyzmem sztuka nowa, rozciął poeta z ludu, w swojej skórze naturalnej, Jan Kasprowicz, który w Tatrach Boga wprost odnalazł, jako swoją osobistą własność—nie literacką.

Na sztuce tatrzańskiej widzimy w skrócie, jak odbyła się ewolucja sztuki w drugiej połowie XIX w. Polegała ona nie tylko na zamianie „przyborów" romantycznych na jakieś inne filozoficzne, nie tylko na przerzuceniu się z treści na formę; pogłębił się swoisty stosunek autora do dzieła przez wydobycie cech rasowych i znakomicie wzbogaciły się środki artystyczne. Sztuka usamodzielniła się pod suwerennemi rządami artyzmu.

Tło tatrzańskiej twórczości jest tak swoiste wskutek szczególnego działania przyrody na artystę, że odcina tę twórczość w jakiś świat sztuki odrębny. Sztuka tatrzańska potrafi rozdwoić talent, biorąc z niego to, co w nim jest siłą. Tetmajer jest inny, gdy tworzy jako literat światowy, inny jako taternik. Świat go poznał jako poetę, którego stanem duchowym jest: „zwątpienie, nuda, szyderstwo, wstręt i przeczenie". Sam chwalił się: „Melancholja, tęsknota, smutek, zniechęcenie, są treścią mojej duszy"... Feldman w swojej historji określił go jako poetę znużenia i rozpasania zmysłów, a jednak dla poety tatrzańskiego musiał potem znaleźć miano inne—Homera. Tłumaczył zaś sobie tę dwoistość tem, że Tetmajer „w miastach chorował przez cywilizację", a w górach „skąpał się w powietrzu ojczystem, zaczerpnął sił, zdrowia itp. [7]).

Zapuściwszy się w czasy nowe, zapomnieliśmy, że punktem wyjścia naszego był dom Macieja Sieczki w Zakopanem w r. 1873, że tam zostawiliśmy Goszczyńskiego.

Znalazł się on w górach, aby skończyć swoje „Kościelisko", zaczęte w r. 1832. Słuchał pewno opowiadań Sieczki, jak Asnyk i Tetmajer, ale czy mógł wziąć go za swego przewodnika w tym kierunku, w którym nastawiona była jego dusza od lat kilkudziesięciu. Patrzył na Giewont, był w Kościeliskiej dolinie, schodził okolice Łopusznej; nie wracało dawne wzruszenie poetyckie. Nietylko starość organizmu była przeszkodą. Duch reagował w inny sposób. Pamięć dawnych stanów uczuciowych nie dawała się odtworzyć przez odświeżenie, bo nie był to już romantyk pierwotny, w którym wyobraźnia paliła się od idej filozoficznych; był to duch w długoletniej praktyce religijnej (w „Służbie Bożej") całkowicie odzmysłowiony i poezja typu „Sobótki" nie leżała już na linji jego możliwości twórczych.

Po powrocie do Lwowa 30 grudnia 1873 odpisuje K. Wójcickiemu do Warszawy na propozycję wydania „Sobótki": „O Sobótce niema mowy, bo właśnie pracuję nad jej wykończeniem i zrobieniem całości, której Sobótka jest tylko ustępem" [8]). Więc jeszcze się łudził.

Ma rację prof. Stan. Pigoń w swojem doskonałem studjum nad materjałem, jaki został do „Kościeliska" [9]), że brak materjału nie mógł stać na przeszkodzie wykonaniu poematu. Przyczyny były psychicznej natury.

Mógłby raczej wykończyć ten poemat w Galicji przed oddaniem się nauce Towiańskiego, ale wtedy popsuł sobie robotę, wydzierając z materjału „Sobótkę" dla „Ziewonji". Znane artystom zjawisko, że dzieło raz wydane na widok publiczny, staje się odcięte od twórcy i tak zobjektywizowane przez niego, że już mu do duszy nie powraca. Cały dalszy pomysł w swej potrzebie realizacji mógł w ten sposób być zasycony na czas dłuższy. Ale w żadnym razie nie podobna wrócić do realizacji po 30-letniej uprawie ducha w służbie czynnej religijnej, skierowanej do zabicia życia zmysłowego. Można do przyrody przystępować bez „przyborów romantycznych", ale bez zmysłowego nastawienia niepodobna.

A szkoda, że nie skończył. Dopiero z pomienionej pracy St. Pigonia można nabrać wyobrażenia, jak szczytne byłoby w tym poemacie upostaciowanie najgłębszej idei Goszczyńskiego, która go jako człowieka wysoko postawiła w historji narodu polskiego — idei poświęcenia.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[5]) Myśl Narodowa № 7 z r. 1929.

[6]) „Legenda Tatr. Janosik Nędza Litmanowski". W rozdziale końcowym.

[7]) W. Feldman. „Piśmiennictwo polskie", t. II. Lwów 1905, str. 77.

[8]) W archiwum Muzeum Rapperswilskiego.

[9]) „Uwagi o genezie i zakroju „Kościeliska" S. Goszczyńskiego" w „Pamiętniku Literackim", zesz. 1 z r. 1929, s. 40.

LIBERUM VETO

Twórcza energja amerykańska. — Jej wysiłki i cuda.— Podwójne źródło naszego etatyzmu. — Jedyny sposób przeciwdziałania.

BOGACTWO Stanów Zjednoczonych A. P. z tkwiącą w niem potęgą polityczną spłynęło z rozmaitych źródeł. Ale niewątpliwie najgłębszem i najobfitszem z nich była podniesiona do najwyższego napięcia energja pomysłowości i pracy jednostek. Widzimy tam bajeczny w swej szybkości i wielkości rozrost przedsiewzięć, które, jak „drapacze nieba" zdumiewają swym ogromem, w innych częściach świata niespotykane i niemożliwe. Jakiś skromny chłopiec posyłkowy, tragarz, robotnik fabryczny, rzemieślnik, przekupień w ciągu kilku, kilkunastu lat staje się miljonerem, właścicielem nieobliczonych kup złota. W żadnej z tych nagłych, cudotwórczych fortun nie znajdujemy niespodziewanej łaski losu, wielkiej wygranej na loterji lub w klubach ruletowo-karcianych; w każdej spotykamy tylko niezmordowaną pracę, śmiałą pomysłowość, niesłabnący wysiłek woli i wiarę w powodzenie. Z tego wyrosła dziś już wielogłowa gromada tytanów przemysłu, handlu i bankierstwa Ameryki. Dolar nie jest tam tylko pieniądzem, jest on czczonym medalem i obrazkiem świętym kultu wszechświatowego.

Dla rodzenia się i rozwijania tego gatunku genjuszów Ameryka posiada rzeczywiście doskonałe warunki. Jej społeczeństwo nie powstało i nie jest dotąd organizmem jednolitym, spojonym węzłami szczepu, tradycji i kultury. Jest to ciągle zbiorowisko jednostek luźnych, wielka spółka użytkowników i przedsiębiorców życia. Tu nikt nie czuje się cząstką całości, żołnierzem armji posłusznym jej dowództwu, członkiem rodziny, która go krępuje, ale i ochrania. Tu każdy czuje, że jest sam, że sam o sobie musi myśleć i tylko na siebie liczyć. W zjednoczeniu obywateli nie widzi krewnych, przyjaciół, dobroczyńców, tylko spólników, współzawodników i wrogów. To przekonanie zmusza go do utrzymania swej energji twórczej i obronnej w najwyższem natężeniu, do zamknięcia jej w obrębie własnego interesu. Europejczyk również oczekuje powodzenia od starań osobistych, ale spodziewa się pomocy społeczeństwa i rządu. Amerykanin tę pomoc zupełnie wyłącza ze swej rachuby, co najwyżej wyzyskuje pomyślny dla siebie zbieg okoliczności i układ warunków. Ta samodzielność, to oparcie się wyłącznie na sobie zmusza do najwyższego napięcia energji, nadającego nadzwyczajnej mocy charakterom. Nie osłabiają się one ani lenistwem, ani oglądaniem się na cudzą pomoc, ani nadzieją wygrania w hazardzie. Są to świdry stalowe, wiercące otwory w skałach i ufające tylko swojej twardości i niezmordowanemu działaniu. Pomijamy tu ujemne właściwości i skutki takich zindywidualizowanych wysiłków, niewątpliwe i bardzo groźne, ważymy tylko samą ich potęgę twórczą, która dokonała dzieł zdumiewających. Ponieważ ta energja rozwija się głównie w dziedzinie materjalnej, przeto w niej odnosi największe triumfy. Zwłaszcza na polu techniki, ułatwień i udoskonaleń życia Ameryka dokonała cudów, przewyższających swą oryginalnością i śmiałością najznakomitsze wynalazki i pomysły starego świata. Jej postępy w tym kierunku nie są łańcuchem powolnych i mozolnych dorobków, ale szalonemi skokami i rzutami, o których ten świat jeszcze nie marzył i na które nie mógłby się zdobyć. Ich jednostronność nie zmniejsza ich wielkiego wpływu na rozwój ogólnej kultury ludzkiej.

Nie chodzi nam jednak w tej chwili o ocenę materjalnych wyników tego rozpędu energji, ale o wniosek psychologiczno-ekonomiczny z pouczającego przykładu. Daje on nam mocne światło, rozjaśniające i rozstrzygające sprawę, która nurtuje nasze obecne życie społeczne sporem między etatyzmem a przedsiebiorczością prywatną. Rząd polski zagarnął pod swą władzę i wolę wiele pól gospodarstwa narodowego. Stwierdzono niezbicie, że działa on w nich nieumiejętnie, niedbale i kosztownie. Zamiast sprawnej organizacji ma w nich rozstrój, zamiast zysków—straty, zamiast udoskonaleń—upadki. A przytem ubezwładnia i tamuje inicjatywę prywatną. Maszyna urzędnicza, zastosowana do celów gospodarczych, nawet złożona z czynników zdolnych i uczciwych, nie dorówna nigdy energji prywatnej, porusza się ciężko i nie ulega tym pobudkom, które ożywiają, podniecają i zapładniają pracę zainteresowaną osobiście. Nawet wzorowy urzędnik głównie dba o stronę formalną przedsiębiorstwa, o zachowanie przepisów, które są zawsze martwe, bo stałe, nieruchome, niedopasowane do zmiennych warunków, powstrzymujące każdą odskakującą od normy nowość i wyłączające ryzyko. Prędzej czy później w najlepszych wypadkach zapanowywa rutyna, zmechanizowanie, szablon, to wszystko, czego sprawna organizacja gospodarcza nie znosi, od czego choruje i zamiera. A jeżeli do niej zakradnie się nieudolność i nieuczciwość, zwija się kłębek nadużyć i występków, które niszczą najzasobniejszą i najpożyteczniejszą instytucję. Tak, z nielicznemi wyjątkami dzieje się u nas, gdzie ogromne sumy majątku narodowego marnieją lub toną w kieszeniach gospodarzów urzędowych.

Chociaż nasz etatyzm jest przeważnie tworem chęci zdobywców władzy opanowania całości życia narodu i ujarzmienia jego woli, ma on częściowe usprawiedliwienie. Społeczeństwo nasze z natury, z tradycji i ze zwyczaju nie posiada uzdolnień i upodobań gospodarczych. Z zagranicy ciągle przychodzą wiadomości nie tylko o szybkiem powstawaniu wielkich fortun i o pomyślnem dokonywaniu niesłychanie śmiałych czynów, ale o załamywaniu się szalonych przedsięwzięć, w których przepadają doszczętnie olbrzymie wkłady. Nic podobnego nie widzimy w Polsce. Nasz kapitał jest senny, próżniaczy, bojaźliwy, lubi drogi utorowane i bezpieczne, poprzestaje na korzyściach pewnych, na spekulacjach wypróbowanych. Setki pól, mogących przynieść obfite plony, leżą odłogiem, dopiero gdy obcy je zajmą i zaczną wyzyskiwać, spostrzegamy, jak one były płodne i zwykle narzekamy na obce zdobycze. Otóż rząd niekiedy ujmuje w swoje ręce takie zaniedbane niwy i chociaż gospodarzy na nich licho, ma na usprawiedliwienie swego etatyzmu obojętność i niezaradność prywatną. W tem położeniu tworzy się błędne koło wzajemnych pretensyj i żalów. Nie usunie go i nie zrobi wyjścia sama gadanina dziennikarska, wymysły i skargi na etatyzm, na wkraczanie rządu w obszary gospodarcze i wypieranie z nich inicjatywy prywatnej. Ta inicjatywa musi się ożywić, nabrać odwagi i rozpędu, okazać siłę śmiałą i twórczą. Niech te tchórzliwe miljony kapitału, które chronią się w dolarach depozytów, w papierach procentowych, w pożyczkach zaasekurowanych dostateczną odpowiedzialnością, wyjdą ze swych kryjówek i rzucą się w ruch czynny. Potrzebne to jest nie dla osobistych zbogaceń, ale dla stworzenia materjalnej i kulturalnej siły narodu, który dziś jest najuboższym, najsłabszym, najbardziej zależnym ekonomicznie śród państw Europy. Przestańmy dokonywać wielkich dzieł piórem i językiem, które są dziś głównemi organami naszych popisów. Etatyzm nie ustąpi, przeciwnie, będzie coraz bardziej rozrastał się na pociechę pasorzytów i na szkodę społeczeństwa, jeśli ono nie zajmie placówek

zaniedbanych i pozwoli wypierać się lub wyręczać czynnikom urzędowym lub obcym. Przypatrujmy się ciągle i uważnie narodom mniejszym a twórczym, energicznym, śmiałym i pomysłowym, które jak np. Czesi, Finlandczycy, Duńczycy, Belgowie, Holendrzy są potęgami gospodarczemi, chociaż los nie obdarzył ich szczególnemi łaskami i które swoją pomyślność zawdzięczają wyłącznie sobie. Tam niema etatyzmu, tam inicjatywa wcale go się nie boi. Dopóki obywatel niedołęga, tchórz i leniwiec nie stanie się dołęgą, śmiałym i pracowitym, zawsze ktoś zajmie jego miejsce, albo rząd, albo cudzoziemiec, zawsze on będzie biedował i skarżył się na etatyzm i na obcy najazd.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

OTWARTA KWESTJA CELU

ORGAN grupy pułkowników, która doszła obecnie do władzy, „Głos Prawdy“ oddaje się teraz (nr. 129) rozpamiętywaniu, jak to było „przed trzema laty“. Zajmuje go sprawa środka, użytego do zamachu stanu.

> Metoda dokonania zamachu stanu przez wojsko była jedynie słuszną i zbawienną. Armja... nadaje się najlepiej do tego, aby swój ewentualny (?) czyn utrzymać jedynie w granicach ogólnego, świętego dla wszystkich interesu.
>
> „Wstrząs, którego trzyletnia rocznica nadchodzi, był nieuniknioną koniecznością, jego zwycięski wynik stał się zbawienną w życiu państwa epoką; jego piorunujący i precyzyjny przebieg, nie mający podobnych sobie przykładów, temu jedynie zawdzięczamy, że jego twórca najpewniejszego i najodpowiedniejszego użył narzędzia, jakim była armja“...

Niema dwu zdań—że jest to środek bardzo skuteczny, a nawet dla tych, którzy mają go w ręku, jedyny. Nie wdając się tedy w dyskusję na ten temat, zauważymy, że jest to raczej zagadnienie techniczne. W dziełach ludzkich, pretendujących do znaczenia historycznego, ważniejsza od sprawy narzędzia jest kwestja celu. Nic tak nie zdobi czynów jak celowość, tego typu dziejowego zamierzenia i czyny dały specjalną kwalifikację zasadzie: cel uświęca środki. Zarówno użycie takiego czy innego środka, jak i ofiary wskutek użycia go poniesione, usprawiedliwić może jedynie jakiś wielki cel.

Sprawa tego celu interesuje od początku do dzisiejszego dnia jaknajgłębiej wszystkie oświecone umysły w Polsce i w świecie. Wszystko jedno — dajmy na to—jaki środek, ale cel—oto pytanie, na które dotąd życie nie dało odpowiedzi.

Przysłuchiwaliśmy się bacznie hasłom jeszcze wtedy, kiedy były zapowiedzią przewrotu. Głosił je p. Stpiczyński, który teraz jest „wydawcą“ „Głosu Prawdy“ dziennika, a wtedy wydawał pod tym tytułem tygodnik. W d. 1 maja 1926 r. (nr. 138) na parę tygodni przed zamachem dawał upust wymowie, interpretującej gotowe już hasło moralności. Zapowiadał, że przychodzi do ataku „koalicja zdrowia społecznego i sił twórczych narodu“, a walczyć będzie z „koalicją złodziei, koruptorów i prostytutek politycznych“. Ten wrzód moralny „doczeka się noża chirurgicznego“. To hasło uzdrowienia (sanacji) formułowało sprawę celu.

Cel bardzo ładny, ale jako legitymacja czynu wobec opinji bardzo lekkomyślnie wybrany. Opinja bowiem zna się na moralności, probierzem tutaj jest prosty instynkt ludowi właściwy, przez kulturę w system etyczny ujęty. Cel taki jest tak bezpośredni i tak łatwo dający się realizować, że opinja odrazu się orjentuje, czy on był stawiany na serjo, czy też było to hasło dywersyjne.

Pierwszy po przewrocie numer „Nowego Kurjera Polskiego“ (obecnie „Epoka“) już z d. 15 maja, nr. 102, rzucił na tę sprawę promień światła w artykule wstępnym „Pod znakiem programu moralnego“. Zaczynał się od słów:

> „W ciągu trzech dni ostatnich dokonany został w Rzeczypospolitej Polskiej doniosły czyn, czyn pod znakiem walki z niesprawiedliwością i nieprawością. Jedyny to bodaj w dziejach świata wypadek, że demonstracja podjęta w imię honoru i cnoty, w imię moralności obala rząd“.

Nie ulega wątpliwości, że takie było hasło oficjalne, bo pisał te słowa dobrze informowany Grosstern. To inna sprawa, czy rozumiał, co pisał. Jednocześnie tegoż dnia w „Kurjerze Porannym“ ręczył za ten cel swojem słowem honoru inny publicysta dobrze informowany, Ehrenberg, który wyjaśniał (nr. 133), że sytuacja zapalić się musiała nieuchronnie od gorejących wśród przyszłej sanacji „zniczów ideałów“. Ostatecznie w kraju

> „rządy brutalnego i nieokrzesanego stosowania pogardy dla wszystkich idealnych wartości życia i bezmyślnego pomiatania tradycją i przyszłością Polski, jako twórczego duchowego czynnika siły moralnej w Europie... zawaliły się“...

W owe dni zwycięskie mówiło się tylko o etyce i o znaczeniu ideałów. Trzeci moralista p. Stpiczyński w „Głosie Prawdy“ z 15 maja (nr. 140) pisał, że zamach był dziełem odruchu sił, żądnych „renesansu moralnego“:

> „Skupiły się wokoło Niego wszystkie najlepsze tęsknoty i dążenia. I w słoneczne dni majowe r. 1926 — wraz z rozkwitającą do życia przyrodą — trysnęły na arenę dziejową pięknym, szlachetnym, samorzutnym wybuchem“.

A tytuł na całym numerze brzmiał: „Zwycięski przewrót moralny“.

Do kompletu brak nam świadectwa jeszcze jednego wtajemniczonego pośrednika—Wassercuga. Wypowiedział się on 16 maja („Nowy Kur. Pol.“ nr. 103) w artykule „Światło epoki“ (stąd potem nowa nazwa pisma):

> „Marszałek Józef Piłsudski reprezentuje program moralności politycznej... Społeczeństwo zatracało zmysł moralny. Próchniał nasz kościec ideowy. Groził nam rozkład moralny, zanik poczucia etycznego. I oto stała się rzecz ogromna, czyn, który historja zapisze jako jedno z największych natchnień szlachetności rodzaju ludzkiego“.

Z takich źródełek sączyła się prawda o celach nowej epoki. Powołaliśmy się na świadectwa najznakomitszych publicystów w obozie sanacji: Stpiczyńskiego, Ehrenberga, Grossterna i Wassercuga. Wątpliwości powstawały z powodów takich: 1) Dlaczego wszyscy ci wieszczowie piszą to samo i to na tak trudny temat jak moralność, zupełnie im obcy, 2) dlaczego tak górnolotnie i nierealnie.

Ale, jak się już rzekło, opinja cywilizowanego społeczeństwa sama, bez pomocy fachowej dziennikarzy, orjentuje się w sprawach moralności. Mamy już trzy lata nowej epoki, renesansu, sanacji gorejącej zniczami ideałów i właśnie sprawa moralności stała się tak piekącą, jak nigdy. Wersje czy dywersje na temat misji moralnej rozwiały się jak dym, a pozostało niepokojące pytanie: więc jaki właściwie cel? Środki znamy, ale jaki cel? Komu znany jest cel?

„KONKRETNE ZADANIE"

NIEDAWNO odbyło się zebranie klubu stronnictwa BB., którego uczestnicy podejmowani byli na Zamku, a wkrótce dostało się do prasy „Poufne sprawozdanie" z tego zebrania. Przewódca obozu sanacyjnego, pułkownik Sławek—jak się ujawniło—zarządził na maj i czerwiec ostrą ofensywę:

„Rozbicie przez nas organizacyj przeciwników będzie sprawdzianem nastrojów społeczeństwa i będzie wielkim ciosem dla opozycji... To też muszą Panowie postawić sobie na najbliższy czas to konkretne zadanie do przeprowadzenia".

Z powodu tego rozkazu „Słowo Pomorskie" (nr. 108) pisze:

„W chwili—gdy w Paryżu przedstawiciel niemiecki dr. Schacht wysuwa sprawę granic polskich, — gdy w Opolu śląskiem rozbestwione bandy niemieckie biją i krwawią bezbronnych Polaków,—gdy kraj stoi przed niebezpieczeństwem przesilenia gospodarczego,—w takiej chwili blok Be-Be uważa za rzecz najważniejszą i najpilniejszą „rozbijanie" i „rozwalanie" polskich stronnictw. Podkreślamy, że chodzi tu tylko o polskie stronnictwa. W całem „tajnem" sprawozdaniu niema bowiem ani słowa (dosłownie: ani słowa!) wzmianki o obcoplemiennych i obcojęzycznych stronnictwach. Chodzi więc o „rozbijanie" i „rozwalanie" jedynie polskich stronnictw".

Organy sanacyjne („Epoka", „Przedświt", „Głos Prawdy") bardzo są niezadowolone z zachowania się społeczeństwa polskiego wobec wydarzeń w Opolu; obawiają się, że „szowinizm" polski zaszkodzi obcowaniu narodów na polu literatury i muzyki („Epoce" chodzi o Beethovena), gdy tymczasem postępek „garstki głupców" w Opolu nie zasługuje na to, aby się nim przejmował naród tak poważny, tak wielki itp.

Przypomina się maj 1926 roku. Kiedy „Kurjer Warsz." wyraził obawę o efekt, jaki wydarzenia wywołają zagranicą, w ówczesnym „Nowym Kurjerze Polskim" (dzisiejsza „Epoka") z dn. 14 maja (nr. 101) p. Wassercug, grający paskudną rolę usypiacza opinji, pisał:

„Cóż to za obawy! Kto nam to powie („nie zasługujecie na wolność"). Kto dziś wielkiemu narodowi powiedzieć tak może? Kto ma dziś prawo wyrokować o naszej wolności"?

Akurat kiedy się to pisało, w Berlinie rozpoczynał się zjazd delegatów związków ojczystych Górnego Śląska (*Heimatstreue Verbände*), a d. 17-go maja dzienniki warszawskie miały już taki telegram o tym zjeździe z Berlina:

„Mimo zapowiedzi, iż Zjazd zajmie się tylko sprawami gospodarczemi jak bezrobocie i brak mieszkań dla uchodźców, obradowano nad sprawami politycznemi w związku z ostatniemi wypadkami w Polsce. Zjazd wystosował do Rady Ligi Narodów następującą rezolucję:

„Zjazd delegatów związków *Heimatstreue* Górnego Śląska, obradujący w gmachu b. Izby Panów w Berlinie z udziałem przedstawicieli Górnego Śląska i całych Niemiec protestuje ponownie przeciwko rozdarciu G. Śląska przez dyktat Rady Ambasadorów z d. 26-go października 1921 roku i domaga się zwrotu wschodniego Górnego Śląska Niemcom. Obecne wypadki w Polsce i upadek życia gospodarczego na G. Śląsku dowodzą, że Polska nie potrafi administrować tym niemieckim obszarem".

W pałacu kanclerskim odbył się bankiet dla autorów tej rezolucji, wydany przez rząd. Brali w nim udział zastępca kanclerza Gessler, min. Stresemann i in., a w toastach pobrzmiewały echa tej rezolucji przeciwko Polsce.

Czemże było obecne wystąpienie Schachta, jak nie próbowaniem, czy opinja o Polsce już dojrzała na świecie tak, jak w Berlinie? Manewr dyplomatyczny? Tak, ale ilustrowany w Opolu pałkami. Nie można takich rzecz obracać w anegdotę o „garstce szowinistów", ani zagłuszać Beethovenem, a w żadnym razie nie wypada gniewać się na młodzież polską, że budzi czujność, ani na stronnictwa polskie, że są zdecydowane na obronę granic zachodnich.

Nie należy z jednej strony usypiać społeczeństwa kadzidłem o wielkości i potędze narodu, a z drugiej poufnemi nakazami „rozbijać" jego siłę polityczną. Bo przecież niepodobna udawać naiwności, jakoby się nie wiedziało o tem, iż siły polityczne narodu organizowane są w stronnictwa. Rozbijanie stronnictw równa się rozbrajaniu narodu. Takie „konkretne zadania" można zalecać zaiste tylko poufnie.

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

DYKTATURA STALINA

W ROSJI współczesnej całkowita władza spoczywa w rękach Partji Komunistycznej, w tej Partji zaś w rękach sekretarza jej Stalina, który w ten sposób może być uważany za następcę Lenina.

Stalin, o ile sądzić można z tego, co mówi, oraz z tego, co wiadomo o jego działaniu, jest przedewszystkiem politykiem. Celem jego głównym jest utrzymanie spoistości partji, a następnie utrwalenie się partji przy władzy. Nie ma on stałych poglądów i stałego programu. Najlepszym na to dowodem jest walka Stalina z prądami opozycyjnemi—lewicowym i prawicowym.

Lewica komunistyczna, której przywódcą był Trockij, obstawała wytrwale przy czystym marksizmie. Walczyła o uprzywilejowanie robotników fabrycznych, o szybką socjalizację przemysłu, była przeciwna wszystkiemu, co mogło podtrzymywać i utrzymywać indywidualne gospodarstwo chłopskie. Stalin, tłumacząc swe postępowanie pobudkami praktycznej natury, stał na stanowisku liczenia się z interesami i nastrojami chłopskiemi, był zwolennikiem wolniejszego tempa socjalizacji. Wystąpił ostro przeciwko opozycji lewicowej, czyli t. zw. trockistom, złamał ich, a samego Trockiego skazał na banicję.

Odniósłszy wszakże tak walne zwycięstwo, wziął na swój rachunek cały prawie program wygnanego przeciwnika i wystąpił ostro przeciwko tym swoim towarzyszom, którzy chcieli wytrwać przy linji zlekka antymarksowskiej. Stąd powstała opozycja prawicowa, na której czele stali wysocy dygnitarze z *Politbiuro*, czyli zarządu partji: Rykow, Bucharin, Tomskij.

Na zakończonej dn. 29 kwietnia XVI konferencji partyjnej opozycja prawicowa przegrała zupełnie. Nie wydalono jej przywódców z zajmowanych w partji stanowisk, należy jednak przypuszczać, że pozbawiono ich wszelkiego wpływu na bieg wypadków. Konferencja uchwaliła t. zw. pięcioletni plan gospodarczy, którego treścią jest nie tylko rozwój produkcji przemysłowej, lecz i jaknajdalej idąca jej socjalizacja, oraz zdecydowana walka z t. zw. „kułakami" przy jednoczesnem popieraniu państwowych i kooperacyjnych gospodarstw rolnych.

Zwycięstwo Stalina oznacza tedy konsekwentne trwanie Sowietów przy zasadach socjalizmu i nowy wysiłek w kierunku socjalizacji przemysłu i rolnictwa oraz dalszego upaństwowienia całego życia gospodarczego w Rosji. Oczywiście, nie jest wcale rzeczą pewną, czy polityka gospodarcza Partji Komunistycznej da się konsekwentnie przeprowadzić. Nie widać wprawdzie w Rosji żadnych realnych sił społecznych, któreby się mogły przeciwstawić bolszewizmowi. Na gruncie politycznym nie grozi grupie dziś rządzącej, jak się zdaje, żadne niebezpieczeństwo. Główne trudności napotka ona w samej naturze życia gospodarczego.

Jeśli mimo tego, że system komunistyczny oparty jest na podstawach sprzecznych z samą istotą życia gospodarczego, trwa on tak długo, to dlatego, że Rosja jest krajem rolniczym, że podstawą jej ekonomicznego roz-

woju są gospodarstwa włościańskie, które istnieją mimo wszelkich dokonywanych na ich ciele doświadczeń, produkują zboże i płacą podatki. System komunistyczny żyje z pracy chłopskiej, podobnie jak średniowieczna gospodarka opierała się na pracy pańszczyźnianej. Poczucie bezpieczeństwa czerpie system sowiecki z tego, że chłop nie jest skory i zdolny do zorganizowanego sprzeciwu, że obszar Rosji jest tak wielki, że trudno na niem zorganizować powszechną wojnę chłopską, mającą dane na to, by usunąć rząd obecny i postawić na to miejsce inny.

Niebezpieczeństwem realnem, grozą wiszącą nad rządcami Rosji jest kryzys w produkcji, zmniejszanie się zapasu chleba i środków żywności, słowem głód ze wszystkiemi jego następstwami. Wszystko wskazuje na to, że tylko daleko idące zaburzenia w życiu gospodarczem mogą wpłynąć na zmiany w systemie społecznym i ekonomicznym, panującym dziś w Rosji. Przy pierwotności jednak tego życia, przy prostocie struktury ekonomicznej i społecznej Rosji, ewolucja życia gospodarczego odbywa się bardzo powoli, może też ono bez dojścia do katastrofy wytrzymać bardzo wiele.

Dyktatura Stalina wydaje się opartą na dość trwałych podstawach.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

PROGRAM MINISTRA ŚWITALSKIEGO

MINISTERJUM Oświaty wydaje od początku roku bieżącego czasopismo p. t. „Oświata i Wychowanie". W słowie wstępnem redakcji na początku 1-go numeru, czytaliśmy bardzo obligujące słowa:

„Działalność oświatowa i wychowawcza Ministerstwa W. R. i O. P. ma za przedmiot nie tylko młodzież szkolną, ale sięga ona także w głąb społeczeństwa, którego podniesienie na wyższy poziom kultury, zwłaszcza duchowej, leży również w zakresie zadań i oddziaływania naczelnej magistratury oświatowej".

Numer 2-gi rozpoczyna „Przemówienie Pana Ministra W. R. i O. P. wygłoszone na zjeździe kuratorów Okręgów Szkolnych w dniu 22 marca 1929". Ponieważ niedawno nastąpiła zmiana ministra oświecenia, więc dla pamięci trzeba zanotować, że przemówienie wygłosił poprzedni minister dr. K. Świtalski, obecny premjer, a nie dr. Sł. Czerwiński. Różnica między nimi jest taka, że gdy karjera obecnego ministra miała za wyłączny teren szkolnictwo, to *curriculum vitae* dra Świtalskiego jest bardziej urozmaicone. Przed objęciem teki ministra w dniu 27 czerwca 1928, był dzisiejszy premjer dyrektorem departamentu politycznego w Ministerstwie Spraw Wewn. Stąd wynika niewątpliwie trudność dobrania tonu stosownego dla zajmowanego w danej chwili stanowiska. Bo przecież jasne jest, że ton właściwy na odprawie szarż Policji Państw. nie może być ten sam, co na zebraniu dygnitarzy oświecenia publicznego, od których żąda się, ażeby „poczuli się większymi panami na swoim terenie—panami, legitymującymi swoją większą władzę nie sporami kompencyjnemi, których nie zniosę (!), ale swoją obywatelską pracą i swoją inicjatywą w kwestjach społecznych".

Zarówno ton jak i styl przemówień dra Świtalskiego więcej zresztą świadczą o „entuzjazmie" *) naśladowczym, aniżeli o radości twórczej. Kilakrotnie np. z pewnem manjactwem powtórzone „*bric à brac*" mogłoby być doskonale zastąpione przez rodzimy „groch z kapustą".

Mimo to „radość twórcza" aż tryska z mowy dra Świtalskiego do kuratorów. Oto chce on dziedzinę wychowania publicznego uczynić rajem, ale „u wrót tego raju stoją wątpliwej wartości archaniołowie". Jeden z nich to biurokratyzm. Dr. Świtalski oznamia, że zaraz w pierwszych dniach urzędowania śpieszył się „z wyczyszczeniem Ministerstwa od zalewu papierków", a teraz żąda tego samego od kuratorów. Zaleca też wprowadzić środki lecznicze nieco „końskie", ale nie mielibyśmy o to pretensji, gdyby tylko okazały się skuteczne. Gorzej, że obok tego pierwszego archanioła i na równej z nim stopie postawił dr. Świtalski „archanioła prawa"; i z nim więc ma zamiar załatwiać się podobnie jak z „papierkami" biurokratycznemi — przez wrzucenie do kosza!

A na czemże ma polegać „polityka oświatowa", jakiej pragnął p. minister? Oto przez szkołę miał być przekształcony charakter narodowy — z emocjonalnego na bardziej wolowy.

„Wychowanie obecne musi największą troskę skierować na kształtowanie czynnika woli".

Cel taki nie jest wynalazkiem d-ra Świtalskiego, ale chodziłoby dalej o bliższe określenie tego czynnika woli i o wskazanie dróg wiodących do niego. Otóż pod tym względem pojęcia d-ra Świtalskiego są dość mętne, zarówno co do celu, jak i co do dróg. Nie ma on też nawet wiary w bliskie urzeczywistnienie swych uproszczonych ideałów i wobec tego szuka wskazań przejściowych na dni najbliższe.

„Nie można się łudzić, by przy dotychczasowych rysach charakteru polskiego można było odrazu przejść na próbę wychowywania typu człowieka o zimnej, twardej, nieugiętej, upartej woli. Typ, który nie zużywa się, nie spala się w niepotrzebnych wzruszeniach i szarpaniach, którego z drogi obranej wytrącić nikt nie potrafi, jednem słowem, ten typ najbardziej ekonomiczny, najbardziej niezawodny, najbardziej pewny dla narodu — jest jeszcze u nas bardzo daleki do osiągnięcia.

„Człowieka w Polsce o zmechanizowanej (?) silnej woli jeszcze obecnie nie wytworzymy. Musimy do tego skarbca woli dostawać się przez czynniki emocjonalne, przez apelowanie do szlachetnych namiętności: po przez entuzjazm do wielkich spraw, przez fascynowanie młodzieży ideałami ludzi. Tylko tą drogą przy naszym charakterze doskrobiemy się nerwów (?) woli i odsłonimy je (?), by w każdym momencie reagowały natychmiast i niezawodnie"

Na dni najbliższe zatem programem będzie „entuzjazm" i „fascynowanie młodzieży ideałami ludzi". Dr. Świtalski używa tu wprawdzie liczby mnogiej, ale w praktyce wiadomo, co o tem sądzić: stosowana ma być zasada wzorowana na rzekomem powiedzeniu Kalifa Omara o bibljotece aleksandryjskiej: albo ci ludzie są podobni do Jednego, a w takim razie jako ideały są zbyteczni, albo też są niepodobni, a w takim razie zasługują na obrzucenie błotem.

---

*) W dyskusji nad budżetem Ministerstwa W. R. i O. P. w Senacie powiedział dr. Świtalski d. 9 marca r. b., co następuje: „P. Kopciński zarzucił mi, że szerzę wiarę w jakąś opatrznościową grupę. Boli go ponadto zobojętnienie do spraw społecznych. Jako minister oświaty nie mam zamiaru szerzyć wiary w żadną grupę, wprowadziłbym bowiem przez to czynnik polityczny do szkoły (!). Natomiast uważam, że mam prawo szerzyć wśród młodzieży entuzjazm do Marszałka Piłsudskiego, co do którego i Sejm uchwalił, że się dobrze zasłużył Ojczyźnie. Czyniąc to, jestem w zgodzie z sumieniem pedagogicznem. Nie sądzę również, by w atmosferze dzisiejszej leżało zobojętnienie dla spraw społecznych. Jeżeli to zobojętnienie jest dla politycznych rozgrywek i perypetyj, to wolę to, niż stan politycznego niezobojętnienia, który istniał przed rokiem 1926-ym, a którego skandalicznym symbolem było obrzucanie błotem przez młodzież najwyższego dostojnika Państwa. Stosunki wśród młodzieży nie są zupełnie zdrowe, ale fakty choćby w minimalnej części podobne do przytoczonego, są dziś nie pomyślenia, a gdyby się powtórzyć chciały, dałbym sobie z niemi radę w sposób radykalny i stanowczy".

Środkiem do osiągnięcia i tego odleglejszego i tego bliższego ideału wychowawczego jest znalezienie odpowiedniej liczby ludzi o dość genjalnej radości twórczej, — oni znajdą drogę, której dr. Świtalski sam jasno nie widzi. Przeto nakazuje p. minister kuratorom, pod grozą utraty swej łaski, wyszukać takich ludzi po bardziej odległych od stolicy dziurach prowincjonalnych (bo tam właśnie muszą się ukrywać genjusze, których oko p. ministra dostrzec nie może) i z pominięciem wszelkich względów „papierkowych" postawić ich na świeczniku *). Z pozostałą resztą tego „materjału ludzkiego", tej mierzwy, wśród której mają się znaleźć perły, nie należy się zbytnio ceremonjować. „Zerwałem zupełnie z udzielaniem audjencyj rozszlochanym nauczycielkom i rozgoryczonym nauczycielom, skarżącym się na swoje krzywdy". „Nie trzeba wahać się w dokonywaniu zmian personalnych, nie unosić się sentymentem w stosunku do czyichś zasług, czy długoletniej pracy".

*) „Wszyscy Panowie, z którymi się stykałem, narzekali na kryzys personalny, jaki przeżywają. Mam głęboką w i a r ę, że kryzys ten jest pozorny. Są ludzie, którzy g d z i e ś p o z a p a d ł y c h k ą t a c h dobrze pracują, i wyciągnięci do większej roboty daliby sobie z nią radę, — ale tych ludzi nikt nie umie dojrzeć".

NAUKA I LITERATURA

STARE KĄTY

WŚRÓD „nowości", nadsyłanych do redakcji, raz po raz oglądać można świeży tom Wandy Miłaszewskiej: po „Pierwszej Miłości"—„Kaczęta", po „Kaczętach"—„Stare Kąty", to znów drugie wydanie „Księżniczki Dagny" lub francuski przekład „Zatrzymanego Zegara" (*„La pendule arrêtée"*). Dwie rzeczy nie ulegają też najmniejszej wątpliwości: pracowitość autorki i powodzenie, jakie zdobyła na rynku czytelniczym polskim, a zaczyna zdobywać również zagranicą.

„Stare Kąty" (Warszawa 1929, nakładem księgarni F. Hoesicka), to powieść o wyraźnie zarysowanej tendencji moralnej, typowy *roman à thèse*, z zapałem i przekonaniem stający w obronie nierozerwalności węzła małżeńskiego. Sposób jednak ujęcia oraz przeprowadzania tej tezy zasadniczo różni się od pospolitej w podobnych wypadkach metody, pogłębiając wartość powieści zarówno pod względem artystycznym jak przedewszystkiem etycznym. Wanda Miłaszewska mianowicie nie zamierza ani przez chwilę ułatwiać sobie zadania takiemi środkami, jak pokazanie czytelnikowi „budującego" obrazu szczęścia—nagrody wierności małżeńskiej, przeciwstawiając go ponuremu opisowi niedoli, prześladujących małżonków niewiernych. Rzeczywistość w powieści Miłaszewskiej nie przybiera postaci „dobrego wuja" czy „sprawiedliwej cioci" z powiastek, którzy „grzeczne" dzieci nagradzają natychmiast łakociami, „niegrzeczne" — zamykają w ciemnej komórce. Czytelnicy „Starych Kątów" zamykają książkę z przeświadczeniem, że jeżeliby bohaterka powieści, Anna, porzuciła męża dla Karola Boreyszy, oczekiwałoby ją szczęście u boku człowieka o szlachetności i wierności wypróbowanej, człowieka od szeregu lat kochającego ją i kochanego, gdy tymczasem małżeństwo jej z Kazimierzem Lipką było dziełem przypadku, zerwanie go zaś nie stałoby się przecięciem węzłów serdecznych ani dla niej samej, oddawna oddanej duszą Karolowi, ani też dla lekkomyślnego oficera Kazimierza, nałogowego karciarza, w stosunku do żony obojętnego, pozbawionego wszelkich gorętszych uczuć egoisty. Nawet jeśli chodzi o córeczkę, niemowlęcą Hanusię, czytelnik jest zupełnie przekonany, że przybrany ojciec, Boreysza, otoczyłby dziecko swojej ukochanej miłością i opieką o wiele tkliwszą, aniżeli ojciec rodzony.

Otóż takie właśnie postawienie zagadnienia i w tych warunkach dokonanie zdecydowanego, bezkompromisowego wyboru jest niewątpliwie najcenniejszą wartością „Starych Kątów". Jakże różna jest pod tym względem książka Miłaszewskiej od tendencyjnych powiastek, wyrastających z ducha amerykańsko-protestanckiego, w których cnota zaleca się przedewszystkiem korzyściami praktycznemi, jakie przynosi cnotliwym, reklamowana jest jako w swoim rodzaju „pewny interes", najbezpieczniejsza, najdokładniej wypróbowana droga do szczęścia, już odrazu, w doczesnem życiu ludzkiem osiągalnego!

To też jako powieść tendencyjna o celu propagandowym, „Stare Kąty" wyrastają wysoko ponad zwykły poziom tego rodzaju twórczości. Podnosi go jeszcze gorliwa dbałość autorki o język, żywość akcji, przejrzystość kompozycji. Zjednywa wreszcie czytelnika przywiązanie Wandy Miłaszewskiej do przyrody polskiej i do dawnego obyczaju, przechowywanego w życiu dworu wiejskiego w Grodzieńszczyźnie, w owych „Starych Kątach", wśród ciszy i zdrowej, rzeźkiej atmosfery.

R.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Znany krytyk J a n L o r e n t o w i c z wydał u Hoesicka imponujący rozmiarami (552 stronice) tom swoich recenzyj teatralnych. Tom ten stanowi dopiero ćwierć zbioru p. t. „Dwadzieścia lat teatru", którego całość będzie liczyła cztery takie *volumina*. W pierwszym znajdujemy oceny utworów dawnych pisarzy polskich. Z żyjących reprezentowany jest tam tylko Aleksander Świętochowski. Serja druga, znajdująca się już w druku, obejmie krytyki utworów cudzoziemskich, również dawniejszych. Serja trzecia będzie poświęcona współczesnemu teatrowi polskiemu, ostatnia zaś współczesnemu teatrowi zagranicznemu. Książka wydana bardzo starannie na pięknym papierze.

*

„Księgarnia Polska" Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej wydała książeczkę K a z i m i e r z a K o n a r s k i e g o p. t. „Legendy" z ilustracjami Wandy Świeżyńskiej. Autor wzoruje się na legendach ludowych, ale tworzy własne. Jest to książka pożyteczna, i miła, przeznaczona dla małych dzieci, pisana dobrą polszczyzną i ładnie ilustrowana.

*

W tomie IX „Rocznika Heraldycznego", organu Pol. Tow. herald. we Lwowie, na którego czele stoi Prof. Uniw. Jag. Dr. W. Semkowicz, oraz w odbitce (Kraków, 1928, 8⁰ w., str. 96 i 2 mapki) ukazała się praca p. Z y g m u n t a W d o w i s z e w s k i e g o p. t. „Ród Bogorjów w wiekach średnich". Autor znany z innych prac w tej dziedzinie, przedstawił dzieje średniowiecznego rodu, z którego pochodził Jarosław ze Skotnik, arcybiskup gnieźnieński, wybitny mąż stanu i współtwórca Kodyfikacji Wiślickiej Kazimierza W. Rozprawa oparta na bardzo obfitym materjale źródłowym, przeważnie archiwalnym, skonstruowana jest ściśle naukowo, metodycznie i jasno, dając chlubne świadectwo o uzdolnieniu autora w tej dziedzinie, mało uprawianej, a tak cennej dla dziejów średniowiecza w Polsce.

*

J e r z y O s t r o w s k i wydał u Gebethnera i Wolffa interesującą książkę o Brazylji p. t. „Ziemia Świętego Krzyża". Książkę ozdabia 100 fotografij. Autor prostuje mylne informacje o tym kraju podróżników dawniejszych. Dużo miejsca poświęca Polakom w Brazylji. Żywo i barwnie charakteryzuje cechy plemienne ludności oraz kulturę młodego narodu, poświęca rozdział życiu towarzyskiemu i rodzinnemu, opisuje stosunki społeczno-polityczne, stan ekonomiczny, życie Polaków, przyrodę polowania, cały rozdział poświęcił wężom i żmijom, bardzo ciekawedaneprzytacza o Indjanach, daje wskazówki, jak zwiedzać Brazylję. Książkę czyta się jak powieść i z dużym pożytkiem.

*

Firma Hoesicka wydała antologję p. t. „Liryka angielska XX wieku" przełożoną i ułożoną przez p. Stanisława Helsztyńskiego. Z przekładów domyślać się możemy, iż wiersze zamieszczone w książce są w oryginale piękne. Brzmienie ich polskie nie sprawia czytelnikowi najmniejszej przyjemności. Przeciwnie, przykrość. Jeżeli się nie ma talentu poetyckiego, nie należy tłumaczyć wierszy, bo cały trud (a pan Helsztyński zadał go sobie nie mało) idzie na marne.

*

Autor „Mah-Jonga" i „Błękitnego szpiega" oraz szczęśliwy tłumacz Conrada (świeżo wyszedł powtórnie jego przekład „Tajfuna"), Jerzy Bohdan Rychliński, jest wśród naszych literatów jednym z najlepszych malarzy życia marynarskiego, z którem, jako oficer floty oraz bywalec na wielu morzach, miał sposobność dobrze się otrzaskać. Od innych „marynistów" odróżnia go skłonność do tajemniczości i niesamowitości, może mająca protoplastę w Edgarze Poe. Z talentem powieściopisarskim łączy i talent poetycki, o którym świadczą wiersze drukowane po pismach. Oba rodzaje literackie — powieść z liryką, względnie piosenką — splótł w ostatniem swem dziele (Poznań, Wydawnictwo Polskie) p. t. „Róża korsarska". Treścią jej są dzieje księcia światowida Darwida, umiejscowione głównie w Winecie, fikcyjnej stolicy równie fikcyjnej Rzeczypospol. Wenedzkiej, która władnie ujściem Wisły i łączy w sobie charakter starodawny z dzisiejszym blichtrem. Książe zbankrutowany doszczętnie (tęgie i pełne groteskowego humoru są sceny z komornikiem) puszcza się w świat na tułaczkę, dźwigając wszędy z sobą starą banderę Różokrzyżowców, przywiezioną niegdyś z Palestyny i stanowiącą przez długie wieki godło morskich rycerzy, niekiedy piratów, jakimi byli przodkowie Darwida. Rzecz cała, mimo pewnych niejasności, wymagających niekiedy wielkiego natężenia uwagi w czytelniku, pisana jest nader zajmująco, do czego przyczynia się i styl dobitny, jędrny, oryginalny w przenośniach i słownictwie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ukazała się nowa książka głośnego filozofa i pisarza niemieckiego hr. Hermanna Keyserlinga p. t. *„Das Spectrum Europas"*. Zawiera charakterystyki narodów europejskich, z wyjątkiem słowiańskich, charakterystyki oparte na dobrej znajomości naszego kontynentu, dość przenikliwe i często trafne. — Nie na tem wszakże wyczerpuje się znaczenie książki, autor na to się zajmuje ludami zamieszkującemi Europę, by snuć swe przewidywania co do przyszłości i określić rolę każdego z narodów w przygotowywaniu i tworzeniu tej przyszłości. Oczywiście miejsce poczesne wyznacza Niemcom. Wywody hr. Keyserlinga nabierają właściwego wyrazu dopiero w związku z jego teorjami filozoficznemi i z rozważaniami socjologicznemi i politycznemi, zawartemi w długim już szeregu jego dzieł poprzednich, zwłaszcza z dziełami takiemi, jak *„Die Neuentstehende Welt"* i *„Politik, Wirtschaft, Weisheit"*. Keyserling jest interesujący nietylko dlatego, że jest jednym z najwybitniejszych myślicieli Niemiec współczesnych, ale także dlatego, że poznanie jego poglądów ułatwia zrozumienie psychologji i dążeń narodu niemieckiego w dobie obecnej. Obudził on już duże zainteresowanie we Francji. Niedawno ukazała się tam dobra o nim książka M. Boucher'a p. t. *„La Philosophie de Hermann Keyserling"*.

*

„La Femme partagée" (Bernard Grasset edit.). jest powieścią napisaną przez p. Hellens. Stanowi ona interesujące studjum psychologiczne, jakkolwiek nie pozbawione pewnych koncepcyj paradoksalnych. Temat śmiały i drastyczny: Historja dwóch mężczyzn i kobiety, należącej jednocześnie do jednego i do drugiego, którzy są przytem przyjaciółmi. Ta sytuacja anormalna powoduje oczywiście nietylko życie anormalne, ale także i uczucia idące od litości do zazdrości, a wreszcie doprowadzające do dramatu, którego koniec jest nie mniej dziwaczny niż całe założenie. Bohaterka bowiem Lea umiera przy urodzinach dziecka, a wówczas ci pseudo przyjaciele rozłączają się prawie bez żalu. Ewolucja tego dramatu *„up to date"* nie jest pozbawiona pewnych momentów patetycznych, ale po zamknięciu tej książki czytelnik nie jest zupełnie pewny, czy miał do czynienia z jakimś wypadkiem kolektywnej patologji, czy też z ludźmi-monstrami. Nie można jednak zaprzeczyć, że p. Frank Hellens posiada niezawodny talent literacki.

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA SZTUKI FRANCUSKIEJ

REPREZENTACYJNA wystawa współczesnej sztuki francuskiej, którą oglądać można w „Zachęcie", jest wyłącznie pokazem twórczości dzisiejszej, a więc twórczości, następującej już po ostatniej epoce rozkwitu sztuki francuskiej, gdy wśród rzeźbiarzy królował znakomity Rodin, malarstwu zaś przewodziły wybitne, choć zupełnie różne od siebie indywidualności artystyczne: Monet, Renoir, Degas, Cézanne, Van Gogh... Okres dzisiejszy — to, jak wiadomo, okres eksperymentów, „poszukiwań", jednakowoż „poszukiwania" wtedy jedynie uwieńczone bywają powodzeniem, jeżeli poszukujący sami zdają sobie sprawę, czego szukają, innemi słowy jeżeli poszukują oni najbardziej odpowiedniego wyrazu dla posiadanej przez siebie, określonej treści duchowej. „Eksperymenty" wyłącznie w dziedzinie formy z tą rachubą, że nowy kształt automatycznie przyniesie z sobą również treść nową, muszą z konieczności zawodzić, a urządzony u nas pokaz współczesnej twórczości francuskiej niejednym, niestety, na potwierdzenie powyższej prawdy służyć może przykładem.

Wystawa, zgodnie ze swym charakterem reprezentacyjnym, obejmuje najrozmaitsze prądy i kierunki. Że impresjonizm nie jest już dziś we Francji tylko przeszłością, częstokroć lekceważoną i nierozumianą, tego dowodem malarze tacy jak Besnard, Bonnard, przedewszystkiem zaś Albert Marquet, którego „Port w Bougie" znakomitym jest krajobrazem, pełnym prostoty, powagi, prawdziwem przepojonym uczuciem.

Wśród malarzy najsilniej przykuwa uwagę Maurice Utrillo, twórca niezmiernie francuski w swojej jasności, logice kompozycji, zmyśle humoru, umiejący spoglądać na otaczającą go rzeczywistość okiem bystrem i przenikliwem. Dobrym kolorystą potrafi być niejednokrotnie Paul Signac, dobrym rysownikiem — Henri Matisse. Geometryczne wizje Pabla Picasso, nieokreślone, jak sen niepowrotne nastroje, nie pozbawione są w pewnym stopniu uroku melancholji, niedostrzeżonego zresztą zupełnie przez bezmyślne zastępy naśladowców, błąkających się po manowcach jałowego całkiem, jeśli o twórczość artystyczną chodzi, intelektualizmu.

W dziale rzeźby pierwsze miejsce zajmuje świetny Antoine Bourdelle, którego „Matka Boska z dzieciątkiem" jest pięknym darem Rządu Francuskiego, ofiarowanym Polsce.

Dość zabawne wrażenie—na wystawie sztuki francuskiej — sprawiają trzy dużych rozmiarów płótna p. Moise Kislinga. Tenże Moise przed niedawnym czasem czynił nader usilne starania, ażeby obrazy swoje umieścić na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, jako reprezentatywne dzieła malarstwa polskiego. Brawo, Moise, kupiec jest bardzo sprytny!... K. L.

ZMARLI

Ś. P. STANISŁAW SZAYNA

W POZNANIU zmarł nagle członek Komitetu Głównego i Komitetu Dzielnicowego Młodych O.W.P., magister nauk ekon. śp., Stanisław Szayna. W życiu najmłodszego pokolenia w Polsce odegrał zmarły rolę bardzo wybitną, należał do tej nielicznej początkowo grupy ludzi, którzy wysiłkiem swoim, wiarą i entuzjazmem doprowadzili do przełomu w życiu ideowem młodzieży i dzisiejszego związania jej z ideologją i programem narodowym. Przez całe życie służył Polsce bezinteresownie i odważnie, najpierw jako żołnierz i oficer na froncie (1918—1920), później w codziennej, wytrwałej pracy organizacyjnej.

Nie zapomną Go nigdy przyjaciele i towarzysze, ideały Jego żyć będą w młodem pokoleniu.

OFENSYWA

OTWIET CZEMBERLENU?

Do tej Operacji za trzy grosze w Teatrze Polskim musi, niestety i polityka wtrącić swoje dwa grosze. Widowisko bowiem było nietylko na scenie ale i na widowni. Asystowali premjerze w jednej loży pan poseł sowiecki z personelem swoim a p. minister Zaleski w drugiej loży; na balkonach górnych moc komsomolców z za Żelaznej Bramy a w pierwszych rzędach biedni polscy literaci, ostatni z Siekierzyńskich, Mohikanie, terroryzowani już formalnie przez koleżeńską miarodajną mniejszość.

Na scenie zaś odgrywał się „niesamowity" „M o r a l i t e t" jak poucza z berlińska p. Breiter, rzekomo poważniony z dyrekcją a jakżeż objektywny, jaki entuzjastyczny!! (w rządowym „Głosie Prawdy"). „M o r a l i t e t" w lupanarze z rozspiewanymi alfonsami, sutenerami, dziewczynkami z rogów, bandytami, włamywaczami, szpiclami, paserami, dozorcami więziennymi.... Angielska „*commedia del arte*" jak poucza w „organie wojska polskiego („w Polsce Zbrojnej") p. Pomper-Pomirowski.

Tu o walorach artystycznych nie mówimy, ani o dynamice inscenizacyjnej, ani o sprawnościach wokalnych, orkiestrze, chórach itp. Tu trzeba zwrócić uwagę na spektakl na widowni, na „teatralizację" życia. Otóż jest rzecz taka:

Apoteozę jazzbandytyzmu spreparowali dwaj bardzo zdolni i sprytni Niemcy. Ze względów na... Opole..., będące niejako historyczną uwerturą tego nudnego skandalu, na afiszu figurował Bogu ducha winien John Gray, sowizdrzał z przed dwustu lat. Z angielskim autorem ta j e w r e j n o w s z c z y n a teatralna nie ma nic a nic wspólnego oprócz tytułu. Ale i o to nie chodzi. Nie w tem jeszcze *gaffa* i nietakt a natomiast w tem, że ta „Żebracza Opera" w swej deformacji i wulgaryzacji warszawskiej została przekształconą na nie tyle widowisko ile dziwowisko wyzywająco... antyangielskie!

Nawet w Berlinie bowiem nie ośmielono się starego a odświeżonego wodewilu strawestować na dzisiejszą nowoczesność ze stemplem: Londyn 1929.

Tylko w Warszawie natomiast, w stolicy zaprzyjaźnionego z W. Brytanją państwa poszła sobie bezceremonjalnie ta nietyle piscareska ile Piccatorka s u t e n e r j a d a przy akompanjamencie doskonałego miejscmi jazzgotu muzycznego, ostrzami inwektywy zwrócona wyraźnie i drastycznie przeciw monarchji i *Empire* wielkobrytyjskiemu. Nawet w Berlinie nie nakładziono tylu akcentów na wyszydzanie dnia koronacji królewskiej, nie pozwolono sobie na chuligańsko-komsomolskie kohncepty o królowej angielskiej, *first lady in the world*, nie ubierano szefa policji i dyrektora więzienia w dzisiejsze galowe mundury na dzień egzekucji herszta apaszów. Czy godziło się gościom tego „artystycznego zamtuza na scenie—wkładać w zęby tekst kpinkujący z królowej angielskiej, gdy się wie o ustosunkowaniu do rojalizmu i monarchji nie już brygady Macdonalda, ale nawet komunizujących Anglików?

Ale jest jeszcze jeden motyw odrażający w tem sutenerskiem.... „*Moralität*" wedle p. Breitera, w tem przetransplantowaniu na scenę świata bruków, trotuarów, rynsztoków wielkomiejskich, w tem przepojeniu sceny duchem i zaduchem żółtej i czerwonej prasy brukowej, pornografjami ilustrowanej, a przez wywlekanie zbrodzieństw popularnej.

Teatr Polski jest ostatecznie teatrem *par excellence* burżuazji, bogatej, często pod bramy Hiszpano — Suissami, Rolls—royce'ami, Chryslerami podjeżdżającej burżuazji, może i postępowej, ale może i Shylockrackiej burżuazji. Nie godzi się zatem w takim przybytku sztuki parodjować problemy socjalne i wyszydzać klasy pracujące tym trybem, że się orędownikami, rzecznikami i trybunami ich słusznych postulatów i pretensyj robi notorycznych kryminalistów, patologicznych recydywistów i typy Lombrososkie wogóle. Nie godzi się pod żadnymi warunkiem na awangardę walczącego o poprawę swej egzystencji ludu roboczego awansować tuzin dziewczynek z domu publicznego. Takie naigrawanie się bezczelne z mas wielkomiejskich, takie zdrowych obserwowanie przez lornetki kalek i pokrak, takie sytych i nakarmionych bicie braw zbuntowanym wygłodzeńcom, takie rozbawianie publiki parodjowaniem haseł robotniczych na transparentach, takie łechtanie apoplektycznych Izydorów „*Chansonami*" o „rewolucji" (żeby tem wygodniej potem spali) i rozmarzanie opasłych bankierowych bicepsami „brutalnych" apaszów—i to wszystko pod flagą faryzeuszowsko uszminkowanego „humanitaryzmu" jest czemś tak bestjalnie niskiem, tak cynicznie kapitalistycznem, tak w duchu jewrejskiem, satanicznem, antychrześcijańskiem, że nie potrzeba nawet kupletu p. Samborskiego wykpiwającego „chrześcijaństwo", żeby tę całą ponurą, posępną, makaki — makabryczną *cochonniade* tak ze stanowiska politycznego jak i socjalnego nie już napiętnować, ale na zbity łeb ze skały Tarpejskiej zrzucić...

Szczególnie przykre zaś było oglądać ten „*otwiet Czemberlenu*" w Teatrze Polskim, dla innych celów zbudowanym. Lat temu mniejwięcej ośmnaście żył sobie w Warszawie taki wyjątkowo uspołeczniony, unarodowiony hrabia, marzyciel, działacz, reformator, idealista i conieco poeta w wolnym czasie, Tomasz Potocki. I ten oto hr. Tomasz napisał sobie taki dramat historyczny o polskim „Fauście". Do niżej podpisanego przyszedł z propozycją, żeby mu język dramatu zarchaizować, utwór dyletancki tu i owdzie skorrygować, poczem we wlansowaniu go na scenę dopomódz. Kiedy ta korrektura była dokończona, zaczęły się starania o wystawienie, nie uwieńczone atoli pomyślnym skutkiem. Wtedy zaczęło się mówić po raz pierwszy o konieczności budowy prywatnego teatru w Warszawie. I wtedy to niżej podpisany zwrócił uwagę i nakierował Tomasza Potockiego do wówczas mało znanego młodziutkiego, naelektryzowanego energją i inicjatywą dr. Szyfmana.

To spiknięcie wydało świetne rezultaty. W trzy lata potem dzięki dobrej woli i zapałowi Potockiego E. Krasińskiego i p. Róga i dzięki wprost tytanicznym wysiłkom organizacyjnym Szyfmana powstał gmach, w którym miał być wystawiony „Polski Faust" T. Potockiego, a w nim główną rolę kobiecą kreować miała znakomita artystka, p. Marja Przybyłko. Niestety już się ś. p. Tomasz Potocki nawet otwarcia nie doczekał i jego dramat poszedł jakoś w zapomnienie.

Ale nie na to u fundamentów tej „świątyni" sztuki dramatycznej stali niezmordowani w swym zapale T. Potocki i E. Krasiński, żeby na tej scenie doszło do takich obskurnych obscenów, do takich nie jakichś bolszewickich, ale zwyczajnych plugastw i ohydztw, podawanych choćby przy akompanjamecnie muzyki miejscami świetnej.

Z tej racji aczkolwiek z „Opery Żebraczej" głoszono nam idee: Nie sprzeciwiać się kryminalistom! Nie potępiać sutenerów! Wyrozumiałości dla zbrodniarzy! Przebaczenia i paserom Nie gnębić szpicli! Policja też kradnie! Pobłażania dla złoczyńców! i... Nie sprzeciwiać się złu!... i t. p., my tam sobie tej propagandzie *Moral in Semity* zaimponować nie damy.

Nie dlatego warszawska „Opera Zebracza" jest wstrętna, że np. napisali ją dwaj Niemcy, ale dlatego że w Warszawie jej realizatorzy może pięknie odrestaurowany utwór niemiecki, ideowo i moralnie spartaczyli, sfałszowali i zniwelowali do poziomu rynsztoka z ulicy Marszałkowskiej. Właśnie Marszałkowskiej. To jest sztuka godna Marszałkowskiej ulicy, „*Commedia del arte*" z Marszałkowskiej. „*Moralität*" Marszałkowski. Sensacja... ale z ery Sanacji.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Zawiadomienie o konfiskacie poprzedniego zeszytu „Myśli Narodowej", nadesłane z Komisarjatu Rządu, opatrzone jest podpisem nieczytelnym. Szkoda. Aleksander Świętochowski zajmuje w piśmiennictwie polskiem tak wyjątkowe stanowisko, że dla przyszłych historyków literatury napewno nieobojętny będzie nawet drobny zupełnie szczegół, jakim jest nazwisko urzędnika Komisarjatu Rządu, który w Roku Pańskim 1929 konfiskował jego artykuły. Ominięto świetną sposobność dostania się do historji.

*

W sanacyjnym „Dniu Polskim" pisze poseł z klubu B. B., p. Sobolewski:

„... od maja 1926 posunęliśmy się bardzo znacznie naprzód, proszę się o to spytać pierwszego lepszego człowieka z u l i c y..."

P. pos. Sobolewski przechadza się najwidoczniej wyłącznie po ulicy Gęsiej, Ś-to Jerskiej, Nalewkach...

*

Podczas święta przysposobienia wojskowego w Poznaniu zwracał uwagę samochód ciężarowy „Strzelca" z napisem: „Nie chcesz wojny, wstąp do Strzelca". Strzelcy są, jak wszystkim wiadomo, organizacją pacyfistów, propagujących braterską miłość w stosunkach międzynarodowych. Strzelania uczą się... tylko jako metody wychowawczej w stosunku do własnych rodaków...

*

Żywa reakcja Polaków na barbarzyński czyn prusaków w Opolu zaniepokoiła Żydów—germanofilów. Pp. Wassercug i Słonimski w prasie warszawskiej pragną doprowadzić stosunki do porządku. „Bo któż na serjo" pyta Słonimski w organie literackim (w takim wypadku „Wiad. Liter." oddają się na usługi polityki) — któż na serjo — „dlatego że w Opolu znalazło się paru łobuzów, chciałby wojny z Niemcami?" Paru łobuzów... Gdyby nie tych paru łobuzów, stosunki z Niemcami byłyby jaknajlepsze. P. Słonimski przypomina, jak przyjmowano w Berlinie Kadena-Bandrowskiego. Przyjmowano go „z wystawnością większą od tej, którą okazała s i o s t r z y c a Francja przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza". No — powiedzmy — bo co Kaden, to nie Mickiewicz! Słonimski nacjonalistów wszystkich krajów nazywa durniami, nie mówi tylko o Żydach, dla których sam pisze nacjonalistycznego „Murzyna".

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM